



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Ignacy Saramak

Wynani z ojcowizny

Druga wojna światowa to okres między piątym a dziesiątym rokiem mojego życia. W tym wieku dostrzega się i rozumie już sporo, a zapamiętuje wiele. Zwłaszcza – jak w moim przypadku – gdy życie od samego początku „nie głaskało po głowie”. W rodzinie było nas pięcioro rodzeństwa – trzy siostry i brat. Ja byłem najmłodszy. Rodzice mieli trzyhektarowe gospodarstwo we wsi Wołowa w powiecie plockim. Jak układały się losy moich bliskich i moje w czasie wojny postaram się niżej opisać.

Było lato 1939 roku. Ciężkim i smutnym wydarzeniem w naszej rodzinie była śmierć cici Anieli. Widziałem z naszego podwórka, jak wieziono dla niej trumnę. Potem poszliśmy do wujostwa na tak zwaną „pustą noc”. Wszyscy płakali, modlili się, śpiewali żałobne pieśni. Bardzo się wtedy bałem. Ta tragedia zbiegła się jakoś z narastającym ogólnym niepokojem. Ludzie coraz częściej mówili o możliwości wybuchu wojny. Rozprawiano o tym przy każdej okazji. Chłopi stali się bardzo wyczuleni na to „co piszą w gazetach”. Gdy tylko ktoś przywiózł jakąś gazetę z miasta zaraz odbywało się zbiorowe czytanie. Wyglądało to w ten sposób, że jedna osoba głośno czytała, a inni zebrani komentowali wiadomości. Takim „zawodowym” lektorem był z reguły Szczepan K., który jako jeden z nielicznych chłopów miał ukończone siedem klas szkoły powszechnej.

U naszych najbliższych sąsiadów Sz. było radio słuchawkowe. Wieczorami, po robocie, zbierali się tam często chłopi, aby wysłuchać najświeższych wiadomości. Osoba nasłuchująca przez słuchawki powtarzała zebranym „co mówili”. Rozważania i dyskusje ciągnęły się do późnych godzin nocnych.

Rozchodziły się czasami różne, często niesamowite wiadomości. Na przykład takie, że o świcie ukazuje się na niebie wielki krwawy krzyż, który rozciąga się od zachodu na wschód. Twierdzono, że jest to niewątpliwy znak zbliżającej się wielkiej pożogi wojennej. Ja także chciałem go zobaczyć. Dlatego któregoś dnia rano poszedłem z siostrą Władzią na łąkę do krów, położyłem się na plecach i wyglądałem na niebie krzyża. Nie pamiętam dokładnie czy coś widziałem.

Bezpośrednim zwiastunem nadciągającej wojny było powołanie do wojska kilkunastu mężczyzn z naszej wsi. Sama wojna 1939 roku to dla mnie ogromne tłumy wystraszonych ludzi, ciągnące szosą furmankami i piechotą. Każdy dźwigał jakieś walizki, tobołki. Wszyscy ogromnie strwożeni, spanikowani i zagubieni. Mówili, że uciekają spod Mławy przed Niemcami, którzy mordują Polaków. Ten nastrój udzielił się także mieszkańcom Wołowej. Kilkunastu chłopów, w tym i mój tata – za radą miejscowego „dziedzica”, pana T. – wyjechało z nim do jego brata za Płock, „bo tam będzie bezpieczniej, jak przyjdą Niemcy”. Wrócili po kilku dniach, bo okazało się, że tam dotarli oni wcześniej niż do nas.

Pogoda była wtedy piękna. Dzień po dniu słonecznie i ciepło. Na niebie żadnej chmurki. Na wsi był to czas wykopków ziemniaków. Któregoś dnia tata zwoził z pola kartofle do wykopanej przed domem rei.

I tak gdzieś po południu na szosie od strony Blichowa pojawiła się ogromna kolumna samochodów ciężarowych z wojskiem. Jechała w kierunku Płocka. Żołnierze siedzieli rzędami na ciężarówkach, w hełmach z zapiętymi pod brodą paskami. Przed sobą trzymali na piersiach karabiny. Po bokach kolumny jechali motocykliści. Wszystko to wyglądało bardzo bojowo i groźnie. Ludzie na wsi nie widzieli jeszcze takiego wojska, więc poruszenie i zaskoczenie było ogromne. Niektóre kobiety na ten widok zęgnaly się, „błogosławiły” przejeżdżających. Powszechne było przekonanie, że to „Angliki jadą na pomoc Polsce”. Jakż był to bolesny zawód, gdy wkrótce wyjaśniło się, iż byli to Niemcy.

A potem? Potem nastala cisza. Chłopi posprzątałi z pól, zasiali i szykowali się do nadchodzącej zimy. Aż tu jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że mieszkańcy Wołowej będą wysiedleni. To był listopad 1939 roku. Zaczynały się przymrozki. Ja skończyłem właśnie pięć lat. Odchodziło gdzieś biedne, bo biedne, ale – dzięki tworzonemu przez rodziców i starsze rodzeństwo rodzinnemu ciepłu – bez troskie dzieciństwo. Nastawał czas, gdy malcy szybko musieli stawać się dorosłymi, pojmwować świat jak oni.

Dzień wysiedlenia wrył się głęboko w pamięć. To było po śniadaniu. W dzieży rosło wyrobione ciasto do pieczenia chleba. W izbie zjawili się jacyś mężczyźni z karabinami przewieszonymi przez ramię. Byli po cywilnemu, ale na rękawach mieli opaski. Oznajmili, że cała wieś zostaje wysiedlona. Należy szybko się ubrać. Można zabrać tylko pościel, rzeczy osobiste i jedzenie na trzy dni i za pół godziny ustawić się w kolumnę na szosie. Rodziny z gospodarstw, w których nie ma konia mają się przysiąść na furmanki sąsiadów. Straszna to była chwila. Jeszcze dziś slysę mamy i nasz płacz, widzę tę trwogę w oczach taty, tę szamotaninę z ubieraniem, wiązaniem w tobołki pościeli... I ten przerażający strach – co z nami będzie? A uzbrojeni przybysze stoją i poganiają do pośpiechu. Jak się okazuje są nimi niemieccy koloniści z sąsiedniej wsi, dobrze znani okolicznej ludności, wśród której żyli od lat. Teraz na rozkaz swoich władz spełniają haniebną rolę wobec ludności polskiej. Zapewniają, że właściwie nie trzeba nic ze sobą brać, bo tam, gdzie nas przesiedlają wszystko będzie. Pojedziemy na gospodarstwa po Niemcach, którzy obejmą nasze. Na miejscu zastaniemy inwentarz i urządzenia domowe. Ile było w tym prawdy okazało się wkrótce.

Tymczasem na szosie ustawia się kolumna wozów. My zabieramy się z wujkiem Dz. I sąsiadem Sz. – oni mają konie, nas na to nie stać. Po szosie uwijają się Niemcy na rowerach. Ponaglają, pokrzykują i kolumna wygnańców rusza w stronę Blichowa. Małe dzieci na wozach wśród tobołków, starsi pieszo za wozami. Żelazne obręcze kół i drewniaki ludzi dudnią po szosie. Już kraniec Wołowej i za chwilę przydrożna figurka w Badurkach. Z tyłu zostaje gniazdo rodzinne. Biedne, ale ciepłe, własne. Tylko słyhać jeszcze pozostawione na łańcuchach psy – nie dali ich zabrać. Ostatnie skomlenia i żalodne wycia, w tym i naszego łaciatego Burka, który został uwiązany przy swojej budzie. A my się wlecemy ze ściśniętym sercem w nieznanne. Jaki nasz dalszy los, co z nami będzie? Te pytania dręcą wszystkich. A ja mam zaledwie pięć lat. Można rzec – co ja mogę o tym wszystkim wiedzieć? Ale ja wiem, wiem wszystko. Od tamtego czasu wiem, że nigdy i pod żadnym pozorem nie wolno wyrzucać nikogo z jego rodzinnego gniazda, szczególnie gdy idzie na zimę, zwłaszcza dzieci. To jest po prostu nieludzkie, zbrodnicze – to nie powinno uchodzić bezkarnie!

Nasza tułaczka trwała długo – chyba ze dwa tygodnie. W dni pogodniejsze i w deszczu, w deszczu ze śniegiem i samym śniegu... Wlekiśmy się po nieznanym drogach. Zatrzymywaliśmy się dla krótkiego odpoczynku. Wtedy naprędcie rozpalano w przydrożnych rowach ogniska, aby się ogrzać i zagotować zbożowej kawy. Jechaliśmy przez Płońsk, Nowe Miasto, Nasielsk, Pułtusk. Potem poprowadzili nas gdzieś pod Wyszków. Był wieczór, zapadał wczesny zmierzch, gdzieś w oddali pokazały się jakieś światła i po kolumnie poszła wiadomość, że to właśnie Wyszków. Potem skierowali nas w jakieś lesiste tereny. Po obu stronach szosy nic tylko las i las oraz zwalone słupy telefoniczne. Mówiono, że jesteśmy w rejonie Czerwonego Boru.

Na jednym z postojów starsi chłopcy, w tym i mój brat Wacek, polecili zwiąć walające się na ziemi kable telefoniczne. Každy przyniósł po sporym zwitku szarego kabla, który przez długi czas wykorzystywaliśmy do różnych celów już na nowym miejscu.

Właśnie gdzieś tam wśród tych lasów – chyba pod Ostrowią Mazowiecką – rozeszła się jakaś niesprecyzowana i elektryzująca wszystkich wiadomość: „Rosja ruszyła Polsce na pomoc, naprzeciw Niemcom idą rosyjskie wojska”. Jak się później okazało rzeczywistość była zupełnie inna. Nikt Polsce z pomocą nie przyszedł. A ruchy Armii Czerwonej na ziemiach polskich były akurat rezultatem paktu Ribbentrop – Mołotow. Ale w tamtym czasie rozchodziły się różne takie nieprawdopodobne wieści. A ludzie chętnie je przyjmowali i powtarzali, chyba nie zdając sobie jeszcze w pełni sprawy z tragedii w jakiej znalazł się kraj i jego mieszkańcy. A może to szło tak podświadomie – ku pokrzepieniu strwożonych serc? I rozmijały się polskie pragnienia z nową rzeczywistością.

Z tej ponurej wędrówki utrwalił mi się w pamięci postój we wsi Winnica pod Pułtuskiem i nocleg w tym mieście. Winnica zrobiła na nas wrażenie jako wieś zasobna, dobrze zabudowana, z wieloma budynkami krytymi nie strzechą, a dachówką lub blachą. Po pięciu latach w powrotnej drodze znów byliśmy w tej wsi i wtedy na własne oczy widzieliśmy skutki wojny. Ale o tym potem.

Nocleg w Pułtusku. To było w jakiejś szkole czy też w innym dużym, piętrowym budynku, w którym były schody. Właśnie one zapadły w pamięci. Ktoś powie: wielka mi rzecz – schody! Tak, ale dla wiejskich dzieciaków, którzy z czymś takim zetknęli się po raz pierwszy to był problem. Po zejściu na dół w żaden sposób nie mogliśmy trafić z powrotem do swojej sali na piętrze. Kręciliśmy się po schodach w kółko i dopiero ktoś z dorosłych wybawił nas z kłopotu. Nocleg w Pułtusku utrwalił mi się w pamięci także – a może przede wszystkim – dlatego, że tam dostałem kubek gorącego rosołu. Kto mnie tak hojnie obdarował – nie wiem. W każdym razie było to wydarzenie, które pięciolatek zapamiętał na długo.

Potem wlekliśmy się jeszcze przez takie duże wsie jak Psary, Obryte, Gródek Rządowy – to już po drugiej stronie Narwi. Trzeba zaznaczyć, że gdzieś w połowie drogi nagle zniknęli nasi niemieccy konwojenci i na dalszą część tułaczki zostaliśmy sami. Trudno powiedzieć jak było na pewno, ale chyba poszczególne rodziny otrzymały polecenie, gdzie mają się udać na nowe miejsce osiedlenia. W każdym razie któregoś dnia pod wieczór, przy padającym śniegu, dotarliśmy do wsi Ostrykół i zatrzymaliśmy się u państwa M. Byliśmy wygłodniali, zziębnięci i bardzo zmęczeni. Oni skończyli właśnie kolację i nie bardzo mieli czym nas poczęstować. Gospodyni domu, pani Helenka, powiedziała, że może dzieciaki ogryzą kostki z drobiu, które zostały z kolacji. Mój tata w pierwszym odruchu zachnął się: jak to kostki. Zdziałało przyzwyczajenie, że wyrzuca się je psu. Ale szybko okazało się, że nie miał racji, bo były ze sporymi kawałkami mięsa. Rzuciliśmy się na nie jak zgłodniałe wilczki. Potem przynieśli snopy słomy, które rozłożono na podłodze w kuchni i przygotowano posłanie. Wreszcie byliśmy najedzeni, ogrzani i można się było wyspać. To była pierwsza noc na miejscu wysiedlenia. Mieliśmy na nim spędzić całe długie pięć lat niemieckiej okupacji.

Kilka słów odnośnie państwa M. Chyba szczęśliwy los sprawił, że w swej niezasłużonej poniewierce od razu trafiliśmy na tych zacnych, dobrych ludzi. Rodzina M. to dwaj bracia – Stanisław i Bolesław oraz ich siostra Helena. Z tego tylko Stanisław był żonaty i miał dwoje dzieci: Tadzia i Tereskę, mniej więcej w moim wieku, może Tereska trochę starsza. Panią całego domu była Helena. Ich gospodarstwo było największe z całej wsi i obejmowało dużą powierzchnię ziemi ornej, łąk i lasu. Duży dom drewniany, kryty dachówką, obszerne obory, stajnie i stodoła. Rozległe podwórko, ogrodzone sztachetami, pośrodku studnia z żurawiem i dużym korytem dla pojenia krów. Całe to siedlisko położone tuż przy Narwi, oddzielone od niej tylko skromniutkimi zabudowaniami rodziny G. Z dwóch stron zabudowania przylegały do sporych polaci własnego sosnowego lasu. Przy furtce w ogrodzeniu, która prowadziła przez las do „naszego” nowego gospodarstwa, usytuowany był na wysokim paliku piękny wiatraczek – ozdoba, który sam się ustawiał odpowiednio do kierunku wiatru i furkotał nawet przy małym podmuchu.

Przypuszczam, że gospodarstwo M. było jakąś „resztówką” po dawnym folwarku – dworze. Wskazywałyby na to dodawany niekiedy do nazwy wsi przymiotnik „dworski” (Ostrykół Dworski). Ponadto na rozległych łąkach, zwanych „służą”, należących do M. miejscowa ludność mogła wypasać swoje bydło. Podobnie na tzw. „wyrzutach”, tj. pasie łąk nad brzegiem Narwi.

Po nocy spędzonej u państwa M. udaliśmy się na nasze nowe miejsce. Było to niewielkie gospodarstwo po Niemcu – koloniście, który nazywał się Herman Malicki. Położone było w sąsiedztwie M. Właściwie jakieś trzysta metrów ścieżką przez las i już było się na miejscu. Siedlisko składało się z dosyć dużej drewnianej chałupy, murowanej z pustaków obory i obitej deskami stodoły. Wszystko to usytuowane na niewielkim wzniesieniu pod lasem. Nieco niżej, na dołku była studnia z żurawiem, ocembrowana drewnem. Jak się potem okazało z ohydą, nie nadającą się do użytku wodą. Chałupa z zewnątrz była obielona. Na tle zielonego lasu całość zabudowy prezentowała się całkiem nieźle. Na tym gospodarstwie zostaliśmy osiedleni razem z wujostwem Dz. W domu oni zajęli mniejszą kuchnię – ich było tylko trzy osoby, my – dużą izbę, bo nas było siedmioro. Obydwie rodziny ogarnęła wielka rozpacz, gdyż okazało się, że wszystkie te pomieszczenia są puste. Z jaką nadzieją tata z wujkiem podnosili klapę w podłodze w kuchni zaglądając do znajdującej się tam piwnicy. Może chociaż trochę kartofli tam będzie? Ale nie było nic – ani w domu, ani w stodole, ani w oborze. Wszędzie przerażająca pustka. Nawet kawałek ławki czy krzesła, nie mówiąc o jakimś łóżku. Nie! A tak nas zapewniali – wszystko tam zastaniecie. Taka to była niemiecka podłość!

Z oderwanych ze stodoły desek tata z wujkiem sklecieli prycze do spania i ławy do siedzenia. I to było całe umeblowanie mieszkania. Trzeba jednoznacznie stwierdzić, że gdyby nie natychmiastowa pomoc zacnych państwa M., niechybnie wszyscy zginęlibyśmy z zimna i głodu w tym najtrudniejszym początkowym okresie. Chciałoby się powiedzieć – dobry Boże, gdy kiedyś będziesz sądził pana Stanisława i panią Helenkę – nagródź ich sowicie za to, że pomogli przetrwać bliźnim, gdy byli w potrzebie.

Na tenże Ostrykół trafiła jeszcze jedna rodzina z Wołowej, tj. Szczepan K. z żoną i dwoma córeczkami. Ich gospodarstwo znajdowało się od nas jakieś pół kilometra. Natomiast wujek N. z dziećmi i moją babcią Rozalią Z. osiedleni zostali we wsi Dyżin na skraju bagna „Pulwy” (około 5 – 6 kilometrów od nas).

Tymczasem nadciągała surowa zima. Położenie nas – wygnańców stawało się wręcz tragiczne. W tej – zdawałoby się sytuacji bez wyjścia – twardzi chłopci znaleźli pewne rozwiązanie. A mojego ojca życie nauczyło twardości i ogromnej odporności na trudy. Żołnierz carskiej armii, ranny na froncie podczas I wojny światowej, jeszcze w niemieckiej niewoli, później ciężko harujący, aby utrzymać rodzinę – potrafił

stawić czoło losowi. Rada w radę wysiedleni chłopci udali się do komisarza gminy w Lubielu z prośbą o przepustkę. Chcieli pojechać w swoje strony, w płockie, zbierać chociaż trochę żywności na zimę. Uzasadniali tym, że tam zostawili wszystko, a tu nie zastali nic. I otrzymali przepustkę. Tak więc mój tata z wujkiem Dz., Szczepanem K. i innymi udali się furmankami w płockie na – jak to potem nazwali – „szprechajkę”, czyli zwyczajnie po prośbie. Wstępowali do dworów, bogatszych gospodarzy – przedstawiali swoją sytuację i prosili o pomoc. Ludzie nie skąpili wsparcia, dawali co mogli: zboże, mąkę, kaszę, kartofle itp. Tak dotarli aż do Wołowej. Tata potem opowiadał, że nasz Burek jak go zobaczył, to zerwał się z łańcucha i tak się radował, że o mało nie oszalał. Ale tata zabrać go nie mógł. Biedne, kochane psisko – też musiało doznawać okrucieństwa wojny! W każdym razie po kilkunastu dniach chłopci wrócili z tej „szprechajki”. I pomyśleć tylko – niedawni gospodarze, którzy zebrali wszystkie zbiory ze swoich pól, aby zapewnić rodzinom byt, teraz w obliczu zimy szli zebrać u ludzi, aby nie dać umrzeć z głodu swoim dzieciom. Tak okupant postępował z Bogu ducha winną polską ludnością. „Dzień zapłaty” nadszedł, ale dopiero po długich latach. Tymczasem dzięki tej wyprawie widmo śmierci głodowej na pewien czas zostało zażegnane.

Na pograniczu Ostregokołu i sąsiedniej wsi Grądy, na strudze płynącej przez „służę” i wpadającej do jeziora, a potem do Narwi, był piękny stary młyn wodny pana K. Tam właśnie tata z wujkiem Dz. zmielili przywiezione zboże na mąkę i było już na chleb, kluski i placki – „podpłomyki”. Z tymi plackami to była cała historia. Najpierw tata przywoził je z nocnego przemiału we młynie. Najczęściej bowiem zboże mielono nocą i w tym czasie chłopci piekli podpłomyki na kuchni, która była w tym młynie. Rano tata przywoził nie tylko świeżą mąkę, ale i upieczonego placka. Wtedy była prawdziwa frajda! Gdy była mąka, to mama z moimi siostrami same piekły w domu podpłomyki. A wyglądało to tak: najpierw ugniatano ciasto, jak na kluski, dodając chyba trochę sody, aby lepiej rosło. Potem wyrabiano płaski placek, który wstępnie był podpiekany na kuchennym blacie. Po przegarnięciu węgla w palenisku na bok pod drugim ustawiano placek. Tam wyrastał, dopiekał się, nabierał rumieńców. Popijany mlekiem stanowił poszukiwany „przysmak”. Podpłomyki to była ważna pozycja w okupacyjnym jadłospisie. Podstawowym jednak jedzeniem była u nas zalewajka. Przyrządzano ją w następujący sposób: na kuchni, w ciepłym kącie stał zawsze gliniany garnek, w którym z razowej mąki dojrzewała fermentowała zakwaska (mąka + woda + ciepło). Zalewano nią gotujące się kartofle (stąd nazwa „zalewajka”). Tak powstawała prosta zupa o lekko kwaśnym smaku, którą jedliśmy z chlebem. Z wyprawy w płockie tata przywiózł dużą, emaliowaną na czarno miskę. Właściwie była to mniejsza miednica, przy której do jedzenia zalewajki zasiadała cała rodzina. Innych naczyń w tym czasie po prostu nie było, bo albo zostały na Wołowej albo zatraciły się podczas naszej wędrówki.

I tak nadeszły pierwsze okupacyjne święta Bożego Narodzenia. Dni były bardzo mroźne i śnieżne. Ale tata zdobył skądś żelazną kuchnię – tzw. kozę, którą ustawiono w naszej izbie. Palono w niej bez przerwy drewnem z pobliskiego lasu i było ciepło. Z wujostwem Dz., którzy mieszkali za ścianą żyliśmy zgodnie, wspierając się nawzajem czym było można. A z ich synem Tadkiem (starszym ode mnie o dwa lata) obaj z Wackiem trzymaliśmy w pełni „sztamę”. Ostatecznie był on przecież naszym ciocięcym bratem, a jego ojciec był moim chrzestnym.

Przyszła Wigilia. Nie było tradycyjnego pszennego ciasta, ani żadnej tradycyjnej potrawy. Nie było też opłatka. Wieczorem zjedliśmy zalewajkę, usiedliśmy całą rodziną przy palącej się kuchni i zapadaliśmy w jakąś dziwną zadumę – ciszę. Słychać było tylko trzask palącego się ognia. W pewnym momencie tata zaintonował koledę „wśród nocnej ciszy”, którą podchwyciła cała rodzina. A wokół była mroźna, gwiazdzista noc. Ogień „strzelał” na palenisku, a my w rzewnych koledach szukaliśmy pocieszenia i nadziei na odmianę naszego losu. Tak, to była najsmutniejsza Wigilia w dotychczasowym moim życiu. Z tych świąt pamiętam jeszcze jak my – dzieciaki poszliśmy do sąsiada K. oglądać szopkę bożonarodzeniową. Była to miejscowa, bardzo biedna rodzina, której ojciec wymajstrował właśnie taką przemyślną szopkę. Stała na stole. Był tam żłobek z dzieciątkiem, pastuszkowie, aniołki i baranki oraz trzej królowie. A wszystko się ruszało i bardzo mi się podobało, bo coś takiego widziałem pierwszy raz. A potem nastąpiły monotonne, podobne jeden do drugiego zimowe dni.

Nasze zabudowania oddalone były od innych gospodarstw, które w tej części wsi były nieliczne i rozrzucone w luźnej zabudowie. Właściwa zwarta wieś ciągnęła się wzdłuż piaszczystej drogi, biegnącej od południa prostopadle do Narwi. Koło gospodarstwa K droga rozgałęziała się. W lewo, skrajem nadnarwiańskiego lasu kierowała się na wieś Sewerynkę i dalej w stronę Lubielu. Natomiast w prawo, koło zabudowań państwa M. dochodziła do Narwi. Przed wojną funkcjonowała tam przeprawa promowa. Resztki promu gnily właśnie przy brzegu. Odgałęzienie tej drogi prowadziło za naszą stodołą przez las do – wspomnianego już – młyna K. i dalej do wsi Grądy. Nasze siedlisko oddzielone było od wsi pasem łąk, z rzadka porośniętych drzewami, wśród których rosły piękne, stare dęby. Łąki otaczały nas półkolem i w rejonie rozgałęzienia dróg dochodziły do Narwi. W tym miejscu rzeka wrzynała się w łąd dosyć szerokim rowem na długość około 200 metrów. Należy dodać, że tam, gdzie rozciągał się pas łąk teren był wyraźnie niższy. Skutkiem tego w czasie przyboru Narwi tworzyło się rozległe rozlewisko, a woda podchodziła aż za naszą oborę i z trzech stron byliśmy odcięci od wsi.

Prawie bezpośrednio przy szczycie naszej stodoły był stary cmentarz żołnierzy niemieckich z I wojny światowej. Rozmyte przez deszcze i zarośnięte mogiły, resztki spróchniałych, połamanych krzyży, a na całym terenie rzadkie, wysokie sosny. Przy naszym domu był niewielki sad z wczesną odmianą wiśni, tzw. szklankami. Głównym atrybutem okolicy była rzeka Narew. Widać ją było z okna naszej izby, połyskującą za wspomnianym cmentarzem. Wzdłuż jej brzegu ciągnął się pas „ziemi niczyjej” porośnięty marną trawą. W miejscowej terminologii były to tzw. wyrzuty. Być może nazwa ta wzięła się od „wyrzucania” przez rzekę rozmaitych różności w czasie przyborów? A może rodowód jej był inny? W rejonie wspomnianego rowu „wyrzuty” były najszerze, porośnięte jałowcami i drzewami, poprzecinane resztkami okopów z I wojny światowej. Był to znakomity teren naszych przyszłych zabaw w „chowanego”, w „policjantów i złodziei”, w „partyzantów” itp.

A sama Narew robiła na nas duże wrażenie. Szeroka na jakieś 150–200 metrów, czysta, o piaszczystym dnie i kilku doskonałych miejscach do kąpeli. Naprzeciwko rozgałęzienia dróg, na samym środku rzeki – piękna wyspa, w większości porośnięta drzewami i krzakami. Pomiędzy naszym brzegiem a wyspą płynął główny nurt rzeki. Z drugiej strony wyspy były jeszcze dwie mniejsze wysepki. Tam była zbudowana „węgornica” państwa M. Rzeka między wyspami była przegrodzona wbitymi w dno palami, wyplecionymi gałęziami jałowca. Na środku tej przegrody była kilkumetrowa przerwa, w której umocowano odpowiednią sieć, tzw. sak. Wędrujące z prądem rzeki węgorze, napotkawszy przeszkodę szukały w niej przejścia i same wpadały do owego saka.

Poczynając od wyspy w dół rzeki, jej brzeg był urwisty. Woda wyraźnie podmywała grunt, tym bardziej, że w tym miejscu jej koryto biegło wyraźnym łukiem w prawo. W brzegu powstawały strome ściany, w których gzęgżółki robiły sobie gniazda. Samym brzegiem ciągnął się wąski pas sosnowego lasu aż pod wieś Sewerynkę. Tam była następna wyspa na Narwi. Od brzegu oddzielała ją płytka, piaszczysta łacha, którą bez trudu można było przejść, bo woda sięgała tylko po pachy. Dla ochrony brzegu, na tym łuku rzeki, zbudowanych było kilka ostróg, zwanych popularnie główkami. Były to gruntowe wypusty w rzekę wzmocnione palami wyplecionymi jałowcem i faszyną. Wszystko porośnięte wikliną. Przy czubku takiej główki nurt był bardzo bystry, z boku tworzył się duży wir, a za nim zastoina wody. Zwykle porośnięta grązelami i innymi roślinami – stanowiła doskonale miejsce do wędkowania.

Wspomnieć jeszcze trzeba małą wysepkę nieopodal opisanego rowu. Cała była porośnięta szuwarami, w których chętnie gnieździły się dzikie kaczki. Nieco inaczej prezentował się krajobraz Narwi w jej górnym wschodnim brzegu. Na pewno od dawnej przeprawy rozciągał się las państwa M. Od rzeki oddzielał go wąski i płytki strumyk, za którym była właściwie kolejna wyspa, częściowo porośnięta wierzbami, dziką trawą z podbiałem, a przy samym nurcie ciągnęły się piaszczyste plaże. Narew płynęła tu bardzo szybko, dno było piaszczyste, woda płytka. Wymarzone miejsce do kąpeli i wodnych harców dla dzieciarni w „średnim” wieku. Idąc brzegiem dalej na wschód dochodziło się do wspomnianych już rozległych łąk zwanych „śluzą”. Bezpośrednio przy Narwi rozpościerało się spore jezioro – rozlewisko, połączone z nią kilkumetrowym przesmykiem. Dalej od rzeki przechodziło ono w bagno, porośnięte sitowiem, tatarakiem i innymi szuwarami, w których obficie gnieździły się dzikie kaczki.

Przez łąkę, łukiem – prawie pod kątem prostym – płynęła struga. W miejscu, gdzie kończył się las, był na niej wspomniany już młyn wodny pana K. Drewniana szara budowla, kryta gontem, z wielkim młyńskim kołem. Spory zalew na spiętrzonej strudze. Wkoło krzewy i drzewa. Wszystko to razem tworzyło malowniczy krajobraz i swoisty klimat. Uroku dodawał chłupot wody, obracającej młyńskie koło.

W miejscu, gdzie struga robiła ostry zakręt w lewo, aby wpaść do jeziora – było wysokie urwisko. Tam często rozpalaliśmy ogniska. W górę rzeki, aż pod wieś Michałowo, rozciągały się nadnarwiańskie łąki, należące do mieszkańców wsi Brzuze, położonej po drugiej stronie Narwi. W odróżnieniu od „śluzy”, która była pastwiskiem, z tych łąk zbierano trawę na siano. Po wysuszeniu składano je w piękne, zgrabne stogi, które dodatkowo wzbogacały krajobraz, a nam pastuszkom służyły do różnych naszych celów.

W takich oto stronach przyszło nam teraz żyć. Trzeba stwierdzić, że względnie szybko dostosowaliśmy się do nowych warunków, innego miejsca i krajobrazu. Już bez szosy i wąskotorowej kolejki, która biegła przez Wołową do cukrowni w Borowiczkach. Tu natomiast był las, Narew i „śluzą”. Ot, po prostu Kurpie. Przysłowie ludowe powiada: „laski, piaski i karaski”. Kraina na pewno biedna, ale solidna. Mieszkańcy tych okolic to ludzie dobrzy, wspomagający innych w potrzebie. Ich życzliwy stosunek do nas – przybyśków bardzo ułatwił nam przetrwanie w nowym środowisku. Widzieli, że spotkało nas wielkie nieszczęście, rozumieli to i wspomagali w miarę swoich możliwości. Można powiedzieć, że łączyła nas wspólna niedola. A okupacyjna rzeczywistość „nie głaskała po głowie” i nie szczędziła ciężkich przeżyć.

Wielkim wstrząsem dla całej rodziny był pobór na roboty przymusowe do Niemiec zimą 1940 roku. Zarządzono, że z naszej rodziny ma się stawić jedna osoba. I rozpoczął się dramat – kto ma pojechać? My z Wackiem byliśmy mali. Zatem w grę wchodziła któraś z sióstr. To jednak wywołało rozpacz rodziców – jakże tak, puścić dziecko w świat, na nieznany los. Dotychczas żadna nie oddalała się od domu, nawet Zofia gdy pracowała na plebanii u księdza w Blichowie też była w „zasięgu” rodziny. A tu do Prus... Tym bardziej, że jest mroźna zima. Odezwało się ojcowskie serce taty, który zdecydował – ja pojedę, a wy

wszyscy zostaniecie na miejscu. Jakoś razem musicie sobie dać radę beze mnie, a ja też tam przetrwam, aż się wojna skończy. Ubrał się już na drogę w swoją zimową jesionkę, na głowę włożył baranicę i zaczął się z nami żegnać. Na to rozległ się wielki lament wszystkich nas – jakże to tak, bez taty? Niechybnie zginiemy. Obaj z Wackiem wczepiliśmy się w poły jesionki i zaczęliśmy strasznie szlochać i przez łzy błagać – tato nie jedź, tato zostań, zostań. I załamało się po raz wtóry ojcowskie serce. Przytulił nas, pogłaskał i rzekł – dobrze, już nie płaczcie, zostań. A Zofia zdecydowała – trudno, ja pojedę – jestem najstarsza, jakoś sobie poradzę, a tata musi zostać z rodziną. I pojechała. Tę scenę żegnającego się z nami ojca widzę i czuję do dziś.

Zofia tak opisywała swoją wywózkę: „Zostaliśmy przewiezieni do Ciechanowa i tam nocowaliśmy w bożnicy żydowskiej. Rano żołnierze niemieccy odprowadzili nas do pociągu. Pod eskortą jechaliśmy przez Mławę w głąb Niemiec. Na nieznaną dla nas stacji w Niemczech wysadzili nas i przeładowali na dwa samochody, którymi wozili świnie. Tymi samochodami trafiliśmy do miejscowości Prusy-Holand. Tam zostaliśmy skierowani do Arbeitsamtu. Badali nas wszystkich, robili fotografie, zebrali odciski palców. Po dokonaniu wszelkich formalności dostaliśmy literę „P” na ubrania. Każdy z nas złożył podpis przy nazwisku na liście niemieckiej w postaci znaku trzech krzyżyków. Gospodarze z miejscowości Prusy-Holand przyjeżdżali i wybierali robotników z Polski. Ja trafiłam na wieś Weskendorw powiat Prusy-Holand. Byłam u sołtysa nazwiskiem Adam Brandt. Oprócz mnie byli u niego niewolnicy: Francuz – Rene z Bordo, Besnar z Normandii, był Belg i jeszcze jedna Polka z Suwałk”.

Przez cały czas jej pobytu trwała wymiana listów. Korespondencja była kontrolowana przez cenzurę niemiecką i dlatego nie mogło być żadnych informacji o warunkach życia robotników przymusowych, ich traktowaniu itp. Ot, taka okupacyjna korespondencja – „jestem zdrowa i was o zdrowie pytam”. Ale wtedy to było bardzo ważne. A życie naszej rodziny jakoś musiało się toczyć.

Z tego początkowego okresu utrwaliło mi się w pamięci szereg zdarzeń i momentów, które mogą wydawać się błahe, ale w tamtym czasie i okolicznościach miały swoje znaczenie. Tworzyły bowiem okupacyjną rzeczywistość. Może na początek o „polowaniach” na zajęce. Wspomniałem już, że mieszkaliśmy pod lasem i z dala od innych gospodarstw. Tworzyło to sprzyjające warunki do łapania zajęcy na wnyki, czym skrzętnie zajął się mój braciszek Wacek. Zimą na śniegu zajęce zostawiały ślady swych wędrówek w poszukiwaniu pożywienia. Na tych ścieżkach, gdzieś w zaroślach, jałowcach Wacusi zastawiał wnyki, a dla zachęty wykladał przy nich troszeczkę siana lub innego pokarmu. No i bardzo często przynosił z lasu złowionego szaraka. Przy bardzo przeciętnym, okupacyjnym odżywianiu się taka zdobycz zwiastowała prawdziwą „wyzerkę”. Bardzo też liczyły się zajęcze skórki. Świeżo ściągnięte były odwracane futerkiem do środka, wypychane słomą i wieszane w przewiewnym miejscu – najczęściej w stodole – aby wyschły. Następnie wyprawione „domowym sposobem” służyły na serdaki, czapki i rękawice. Cały ten zajęczy proceder był oczywiście nielegalny i trzeba się było bardzo pilnować, aby nie „podpaść” niemieckiej władzy. Tym bardziej, że w tym czasie Niemcy już dosyć często patrolowali tamtejsze tereny. Trzeba bowiem wiedzieć, że rejony, w które byliśmy przesiedleni zostały włączone do III Rzeszy. Szkoły i wszystkie inne polskie instytucje uległy likwidacji. Nie ukazywały się żadne gazety po polsku. W obiegu nie było naszych pieniędzy tylko niemieckie marki. Z wyjątkiem kościołów nie było nic polskiego. Polacy mieli pracować i solidnie wykonywać zarządzenia niemieckich władz.

Oprócz podatków wprowadzono system obowiązkowych kontyngentów. Każde gospodarstwo musiało w wyznaczonym terminie odstawić określoną ilość zboża i żywego inwentarza. Wszystkie krowy, świnie i owce były kolczykowane – w uszy wczepiano im specjalne blaszane numery – aby nie można ich było ubijać na własne potrzeby lub sprzedawać „na lewo”. Wprowadzono też system kartkowy – „bezugs-sehein”. Na kartki można było kupić określoną ilość soli, mydła, kawy zbożowej, zapalek, buraczanej marmolady i sacharyny. Ta ostatnia musiała zastąpić cukier, którego w ogóle nie było. Polakom nie wolno było spożywać mięsa. To był artykuł tylko dla Niemców. Ludność polska była ściśle nadzorowana i kontrolowana nie tylko przez żandarmerię z gminnego komisariatu w Lubielu, ale także przez liczne patrole wykonywane przez tzw. wachy. Były to kilkudziesięcioosobowe strażnice niemieckie, rozlokowane z reguły w dawnych polskich szkołach, zabezpieczonych zasiekami z drutu kolczastego. Głównym ich zadaniem było pilnowanie przebiegającej kilkanaście kilometrów od nas granicy między Rzeszą a utworzoną z części ziem polskich tzw. Generalną Gubernią. W naszych stronach granicę stanowiła linia kolejowa Wyszaków – Ostrołęka (na pewnym odcinku). Najbliższa „wacha” znajdowała się w sąsiedniej wsi Grądy, następna w Sieczkach, na skraju bagna „Pulwy”. Oprócz nadzorowania granicy, patrole z psami z tych „wach” lustrowały cały podległy im teren. Bardzo często zachodziły też i do nas. Najczęściej ogrzać się, gdy na dworze był tęgi mróz. Ale nie tylko. Zdarzało się, że zaglądali do garnków na kuchni – czy nie gotuje się mięsa. Na szczęście nigdy nie trafili. Pewnego razu o mało nie doszło jednak do „wpadki”. Zaszli do izby ci „nieproszeni goście”, a w stodole na klepisku wisiały dwie zajęcze skórki. Wszyscy zamarliśmy ze strachu, aby tam nie zaglądali. Mama dała mi wzrokiem znać, abym spróbował wymknąć się z izby i je schować. Pomyślała, że jako na najmłodszego Niemcy nie zwrócą na mnie uwagi. Domyśliłem się w mig o co chodzi. Udało mi się niepostrzeżenie dotrzeć do stodoły i ukryć „trefny” towar. Od tego czasu byliśmy ostrożniejsi. Nigdy już skórki nie były widoczne na pierwszy rzut oka.

Silnym dla mnie przeżyciem był też pierwszy kontakt z żandarmami z Lubiela. To było tak jakoś na wiosnę. Ładna, słoneczna pogoda, ciepłutko, w koło świeżutka wiosenna zieleń. Nad Narwią zebrała się gromada dzieciarni w różnym wieku łowić ryby na wędki. Prawie każdy miał jakąś pozał się Boże wędkę i jak to się teraz mówi „moczył kija”. Wędka to była „plecionka” z włosia wyrwanego z końskiego ogona. Kilka takich odcinków powiązanych ze sobą, splot z gęsiego pióra, wędzisko z jałowca lub leszczyny, haczyk wygięty z agrafki lub igły (rozgrzana nad płomieniem dawała się wygiąć). Ot i cały sprzęt wędkarski. Czasami na to można było wyciągnąć uklejkę lub płotkę. Najczęściej jednak rybka i tak się urywała z tego „haczyka”, bo przecież nie miał on zacinającej ostrogi. No więc obstawiła ferajna brzeg rzeki niedaleko kępki i łowi. Aż tu w pewnym momencie nadjechało na rowerach dwóch czy trzech żandarmów. I od razu: „:Kommen, kommen”. Ci, co byli najbliższej musieli podejść w pierwszej kolejności. Niemcy zaczęli oglądać ten wędkarski „sprzęt”, wymieniać między sobą uwagi – zrobiło się trochę zamieszania. Oni zainteresowani są głównie starszymi chłopakami. Korzystając z tego, że byliśmy na końcu – pomalutku, ostrożniutko zaczęliśmy się z Wackiem wycofywać – broń Boże nie uciekać. I udało się. Żandarmi jeszcze trochę posprawdzali, coś tam „poszwargotali”, kazali rozejść się i odjechali. Nic się nie stało. Ale strachu mieliśmy sporo.

A skoro mowa o strachu. Tego rodzaju inne przeżycie też było związane z Narwią. Tym razem zimą i bez udziału Niemców. O tej porze roku atrakcją dla wiejskich chłopaków był lód i sanki. W płockiem starsi chłopcy jeździli sankami po lodzie na stojąco. Wyglądało to tak: robili sobie małe saneczki z desek, na których można było tylko stanąć obiema stopami. Płozy musiały być „okute” jakimś metalowym prętem czy grubszym drutem, aby miały poślizg. Najlepiej nadawało się do tego „ucho” od starego wiadra (gładka powierzchnia dobrze przylegała do płozy, a półokrągła strona dobrze „nosiła” po lodzie). Do jazdy potrzebny był jeszcze – odpowiedniej do wzrostu jeźdźca długości – drewniany drażek, zakończony ostrym metalowym grotem (gruby gwóźdź czy coś podobnego). Jazda odbywała się w ten sposób, że chłopak stawał na sankach, między nogi wkładał ów drażek i silnie odpychając się nim od lodu pędził naprzód „na złamanie karku”. Oczywiście wymagało to odpowiedniej wprawy, bo inaczej robiło się „bęć” na lód. W tych stronach chłopaki nie znali takiego „wynalazku”. Jeździli albo na łyżwach albo na nieco większych sankach w „klęcznym” siadzie. Do jazdy potrzebne były dwa mniejsze kijki zakończone „gwóździami”. Siedząc na piętach i trzymając w każdej ręce kijek należało rytmicznie i mocno odpychać się nimi od lodu. Była to jazda bezpieczniejsza niż na „stojaka”, a przez to bardziej nadająca się dla „maluchów”. No i przejeżdżaliśmy od miejscowych ten sposób jazdy. A „lodowisk” było dużo. Saneczkowanie po lodzie uprawialiśmy ile tylko się dało, a właściwie ile było można wytrzymać z zimna. Marzły zaś głównie kolana, stopy i ręce. W ogóle nogi po pewnym czasie bardzo drętwiały, bo przecież przez całą jazdę się na nich siedziało.

Pewnego razu na saneczki wybrałem się sam. Było słonecznie, ciepłutko, fajnie. Wziąłem swoje sanki i poszedłem nad Narew. Na brzegu, na skraju „wyrzutków” była tafla lodu, pozostałego po wyższym poziomie wody. Miała ona jednak bezpośredni uskok do rzeki, tak gdzieś około 1 metra wysokości. I to była bardzo niebezpieczna pułapka. Siadłem na swoje saneczki, kijkami „pac, pac” i jeżdżę sobie tam i z powrotem. Słoneczko zimowe przygrzewa. Fajnie jest. Aż w pewnym momencie kijek omsknął mi się po lodzie – zgiał się w nim „grot” – saneczki zarzuciło i... niosą mnie one prosto do rzeki. Momentalnie zrobiło mi się gorąco, oblałem się potem i jak błyskawica przez myśl przemknęło, że to już koniec! I gdybym wpadł, tak by się z pewnością skończyło. Nurt był tam bystry, woda głęboka i bardzo zimna, ja okutany w grube łachmany, z umiejętnością pływania ledwie „po piesku”. A w pobliżu pustka, nie było nikogo, kto mógłby pospieszyć z pomocą. Na szczęście moje sanki zatrzymały się tuż nad skrajem lodu. Pomaluśku, pomaluśku na brzuchu, delikatnie odpychając się dobrym kijkiem, zdołałem odpełznąć nieco dalej, przyciągnąłem sanki i już nie usiadłem na nie. Jak sparaliżowany powlokłem się do domu. Chyba mój dobry anioł stróż czuwał jednak nade mną, że ta przygoda nie zakończyła się tragicznie. Oczywiście w domu nie byłam zbyt rozmowy na ten temat. Ale od tego czasu już nigdy nie chodziłem sam na lód.

Zimą urządzaliśmy takie ślizgi po śniegu. Jeśli napadała go odpowiednia warstwa, prosto z naszego podwórka mieliśmy gotowy zjazd saneczkowy, gdyż – jak wspominałem – mieszkaliśmy na niewielkim wzgórzu. Zbierała się zatem gromada dzieciarni w różnym wieku i jazda „z górki na pazurki”. Niektórzy mieli swoje sanki, a inni... no właśnie. Ale od czego jest wyobraźnia i pomysłu? Były u nas – nie wiem nasze, czy też czyjeś – tzw. zajdki. Jest to para sanek do jazdy koniem. Z normalnego konnego wozu zdejmuje się całą skrzynię, odpowiednio osadza na tych saniach (jedne z przodu, drugie z tyłu) i już jest „wóz” do zimowej jazdy w konia po śniegu. A starsi chłopcy pokombinowali, że przecież pojedynczymi zajdkami można doskonale zjeżdżać z górki. Siadało więc bractwo, gdzie kto mógł i „fru”. Jeśli dodać, że ci co się nie zabrali walili w to ze wszystkich sił śnieżkami – zabawa była przednia. Prym w tym wszystkim wiedli oczywiście starsi chłopcy. W tym miejscu pragnę wymienić jednego z nich – Wacka N. Rodzina N. to ludzie tutejsi. Mieszkali nieopodal wspomnianego młyna, w sąsiedztwie Szczepana K. Wacka zapamiętałem właściwie z dwóch powodów. Raz zadziwił nas bardzo, gdy któregoś dnia przyleciał do nas boso po śniegu (około pół kilometra). Wszedł do kuchni, stanął przy drzwiach i zaczął rozcierać jedną nogę o drugą. Wszyscy na niego, że jak tak może, że przecież przeziębili się. A on na to: „ee tam, nic mi nie

będzie, ja zwyczajny”. Drugą osobliwością, z którą mi się on skojarzył było to, iż miał ciekawe obuwie – takie „okrągłaczki” do kostek – całe wydłubane z drewna. Żadnego rzemyczka ani skórki, samo drewnienko, jak dziupla w starym konarze. Potem się wyjaśniło, że tego rodzaju „samodziałowe” obuwie w tych stronach nie należało do rzadkości.

Życie z miejscowymi chłopakami miało także i mniej „szlachetne” przejawy. Zanim powiem w czym rzecz, pragnę podkreślić, że tamte czasy charakteryzowały się dużą czystością ekologiczną. Powietrze, woda, ziemia nie były skażone szkodliwymi substancjami. Przyroda, cały świat roślinny i zwierzęcy miały korzystne warunki rozwoju. A na Kurpiach „laski” – z tego jeden tuż za naszą stodołą. To były wylegarnie i siedliska wszelkiego rodzaju dzicyzny m.in. lisów, wron i jastrzębi. Nie przypadkowo wymieniam te gatunki. Ich duża rozróżność dawała się we znaki miejscowej ludności. Ofiarą padało głównie ptactwo domowe, zwłaszcza kurczęta. Rzadko które stadko dorastało w pełnym składzie. Zatem „walka” z tymi „rabusiami” była w jakimś stopniu usprawiedliwiona, czy nawet konieczna. W stosunku do przebiegłych lisów – mówiąc prawdę – byliśmy bezradni i przegrani. Inaczej sprawa wyglądała, gdy idzie o wrony i jastrzębie. Według miejscowych doświadczeń skutecznie odstraszało je od zabudowań wywieszanie „wroniego trupa”. Martwą wronę rozciągano za skrzydła i wieszano na wysokiej tyczce np. na stodole czy oborze. Wrony i jastrzębie „bały się” podobnego losu i nie atakowały w pobliżu drobiu.

Nasze obcowanie z lasem M. to nie tylko zajęcie i wrony, ale przede wszystkim opał i grzyby. Mieszkańcy lesistych terenów dobrze wiedzą, co znaczy maksyma „las ogrzeje i wyżywi”. O jej prawdziwości i słuszności przekonaliśmy się i my – przybysze z płockiego. Opał w tych stronach stanowiło wyłącznie drewno i sosnowe szyszki. Zdobywanie opału to w głównej mierze moja z braciszkiem Wackiem rola. Zbierało się go na okrągło – latem i zimą. Wyposażeni w sanki, piłkę, długą tyczkę zakończoną hakiem – zbieraliśmy chrust, a najczęściej obłamywaliśmy i wycinaliśmy suche gałęzie i uschnięte mniejsze sosenki i jałowce. Tyczka służyła do obłamywania gałęzi i sęków znajdujących się wyżej na drzewach. Wszystko to było ładowane na sanki, przywiązywane jakimś sznurkami i jazda do domu. Latem – obok drewna – zbieraliśmy wysuszone, sosnowe szyszki, w czym uczestniczyły i siostry, zwłaszcza Władzia. Środkiem transportu był wtedy – zrobiony własnym sumptem – wózek. Las był sosnowy, duże połacie starodrzewu, więc o szyszki nie było trudno. Przywoziliśmy ich całe worki. Tak, że na zimę wypełnialiśmy nimi prawie całą szopę.

Dla nas „małolatów” okupacyjny dzień nie obfitował w atrakcyjne przygody. Wręcz przeciwnie, był biedny i szary. Odżywialiśmy się marnie, ubrani byliśmy nędznie – jakieś porcięta z samodziałowego lnu, wytarty sweterek z resztek wełny, bo lepszą trzeba było oddać na kontyngent. Latem na nogach żadnego obuwia. Łeb ostrzyżony na łyso. Oto cały wizerunek wiejskiego „gawrosza”. Z chodzeniem na bosaka była cała „historia”. Rzecz w tym, że latało się tak na okrągło – sucho, mokro, słońce, wiatr – ciągle boso. No i kąpaliśmy się w Narwi bez umiaru. Efekt był taki, że każdy miał nogi „posieczone”, jak wyschnięta kora na starym jałowcu. Przy zamoczeniu szczypały do granic wytrzymałości. A już szczytem wszystkiego było, gdy podczas kąpieli zaplątał się człowiek w zielsko zwane „świerzbą wodną”, które parzyło jak pokrzywa. Oj, syczało się wtedy, syczało! A ratunek był jeden – należało posiusić na te „racice”. No i pomagało.

Nie chodziliśmy do szkoły, gdyż były one zlikwidowane. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni naszym głównym obowiązkiem było pasanie krów i owiec. Spełnialiśmy więc z bratem tę „krowią powinność” zarówno na naszej łące, jak i na „śluzie” oraz „wyrzutach”. Do czasu przeniesienia nas na inne gospodarstwo właśnie „śluz” była zasadniczym poligonem naszej działalności, bo własnej łąki było niewiele i trawę oszczędzano na siano. Ale łąka ta pozostała mi w pamięci ze względu na Żydów. Zarówno bowiem na Ostrymkole, jak i w sąsiednich wioskach mieszkało sporo – z reguły wielodzietnych – rodzin żydowskich. Byli to głównie krawcy, handlarze i inni rzemieślnicy wiejscy. Ot, taka biedota jak każda inna. I Niemcy zagonili ich do przymusowej pracy przy budowie dróg, kopania rowów itp. prostych robót.

Koło naszych zabudowań był wojenny cmentarz niemiecki z I wojny światowej. Przy jego odnowieniu pracowali Żydzi. Zawsze pilnowało ich kilku uzbrojonych Niemców z psami. Na piersiach i na plecach Żydzi musieli mieć duże litery „J” („Jude”). Z naszej łąki wycinali szpadlami tafle darniny, które przewozili taczkami i okładali nimi uformowane od nowa, indywidualne i zbiorowe mogiły. Potem ustawiali nad nimi brzożowe krzyże, żwirowali alejki, a na koniec ustawiali na środku wielki brzożowy krzyż i całość ogrodzili też drewnianymi żerdziami. Trwało to kilka tygodni. A my pasaliśmy na łące krowy i widzieliśmy to wszystko z bliska. Żydów zapamiętałem także z kąpieli w Narwi. Przychodzili tam całymi swoimi licznymi rodzinami. Rozbierali się do naga i pluskali w rzece. Przyglądaliśmy się temu z zainteresowaniem, bo u nas nie było przyjęte, aby dorośli razem z dziećmi na golasa harcowali w wodzie. A u nich widocznie było inaczej. Potem Żydzi zniknęli. W okolicznych wioskach pozostały po nich tylko puste chałupy. Z czasem rozeszła się wieść, że wszyscy Żydzi zostali wywiezieni „do gazu”, czyli na śmierć w komorach gazowych. Ale tak gdzieś w rok potem słyszałem, że w nowowiejskim lesie Niemcy wykryli wykopany w ziemi bunkier, w którym ukrywała się rodzina żydowska. I wszystkich od razu zabili. Podobno ktoś doniósł Niemcom o tych biedakach. Jak w istocie było – trudno powiedzieć. Chociaż jest to prawdopodobne. Zagłada Żydów była przerażającą rzeczywistością.

Z niemiecką brutalnością zetknąłem się również osobiście. Nie w takiej skali, no niemniej jednak. Nadmieniałem już, że tereny te poddane były totalnym ograniczeniom. Polaków obowiązywał m.in. zakaz jakiegokolwiek handlu. Wobec tego rozwinął się handel nielegalny, czyli „szmugiel”. Byłem naocznym świadkiem „wpadki” wujka Dz. Otóż zdarzyło się, że jakoś tak na wiosnę sprzedał on jakiemuś „handlarzowi” pół czy też ćwierć kwintala żyta. Niemcy złapali faceta z tym towarem. Dali mu „wycisk” i wszystko „wyśpiewał” – gdzie, kiedy i od kogo kupił. Akurat byłem w domu, gdy Niemiec z psem przyprowadził tego człowieka. I od razu do wujka – znasz go? Wujek odpowiada, że pierwszy raz go widzi. Na to Niemiec białą ręką wujka w twarz i wymyśla „kłamiesz ty polska świno”. I znów – znasz go? Odpowiedź – nie i następny cios w twarz. I tak kilka razy. Niemiec do handlarza – od niego kupiłeś zboże? A ten – tak, od niego. I wujek nie miał wyjścia – musiał się przyznać. Został zabrany na „wachę” w Grądach. Wrócił po kilku dniach – zdaje się po jakimś „okupie”, ale dokładnie tego nie wiem. Takich spraw przy małolatach nie omawiano.

Mniej więcej w tym czasie spotkało nas – jak zresztą i innych mieszkańców – innego rodzaju nieszczęście. Padliśmy ofiarą wszawicy. Okazało się, że w rezultacie używania niemieckiego mydła do mycia i prania niesamowicie rozpleniły się wszy. Zanim ludzie się zorientowali w czym rzecz, dały się wszystkim we znaki te insekty. Powszechne było przekonanie, że Niemcy celowo zaopatrywali polską ludność we „wszawe” mydło. Wyjście było jedno – zaprzestać używania go. Zaczęto stosować mydło własnej produkcji (z łaju, sody kaustycznej i z dodatkiem czegoś tam jeszcze). I wysyp wszy ustał. Ale spadła na nas inna klęska – świerz. Nie wiadomo kto i od kogo pierwszy się zaraził, ale w krótkim czasie cała rodzina była zaatakowana. Drapaliśmy się jak opętani. Dopiero „szmuglerzy” przynieśli zza „granicy” jakąś maść – niesamowicie śmierdząca, ale skuteczną. Po kilku dniach wyleczyliśmy się z tego paskudztwa. Czy warto o tym wspominać? W rzeczy samej pewnie warto. Ale z drugiej strony, jest to też jakiś wyznacznik nędznego poziomu naszego bytowania w pierwszym okresie okupacji. Ale jakoś trwaliśmy.

Sporo nowych zdarzeń w życiu rodziny nastąpiło za sprawą siostry Marysi. W kilka miesięcy po naszym osiedleniu się wyjechała ona do krewnych w Kielcach. Tam zapoznała się ze Stanisławem W., synem miejscowego gospodarza. Przypadli sobie do gustu. Wzajemne oczarowanie musiało być wielkie, skoro Staś zerwał zaręczyny ze swoją narzeczoną, z którą była już ustalona data ślubu. Pełnię uczuć skierował ku Marysi. Jego rodzice byli tym obrotem sprawy zrozpaczeni, zwłaszcza matka. Miał on bowiem ożenić się z dobrze posażną panną i objąć ojcowskie gospodarstwo, z którego powinien spłacić swoją siostrę, planowaną do zamążpójścia „z domu”. A tu się wszystko zawaliło, bo synek postanowił inaczej. O żadnym uwzględnieniu zdania mamusi nie chciał słyszeć. Zabrał swoje papiery potrzebne do ślubu i oboje z Marysią przyjechali do nas, na Ostrykół. Prawie niezwłocznie „dali na zapowiedzi” i wkrótce się pobrali. Wesele było bardziej niż skromne, ale było. Do tańca przygrywał tylko jeden „muzykant”, który grał na takiej oryginalnej harmonii z nożnymi pedałami. Te tzw. „pedałówki” były na Kurpiach bardzo rozpowszechnione. W niedługim czasie młodożeńcy zostali aresztowani przez żandarmerię z Lubiela. Za nielegalne przekroczenie granicy z Generalną Gubernią każde z małżonków otrzymało po trzy miesiące obozu pracy. Tak więc romantyczna para nie udała się w atrakcyjną podróż poślubną, a wylądowała w zwyczajnym „mamrze”.

A my z Wackiem... No właśnie. Zwyczajnie pasaliśmy nasze kochane krówki i owieczki na „śluzie”. Trzeba temu poświęcić kilka zdań, bo na tych rozległych łąkach pozostawiliśmy spory fragment z naszych młodych lat. Wśród innych rówieśników mieliśmy tam dobrego kolegę i przyjaciela – Wacka K. Był starszy od nas i służył za pastucha u państwa M. On pilnował dużego stada krów, a my naszych kilku sztuk. Wacek był ostoją całej pastuchowej świty. W razie jakiejś „draki” zawsze stawał w obronie słabszego. W tej „krowiej” służbie – w sumie jednostajnej i nudnej – staraliśmy się jakoś urozmaicać czas. Nieodłączną atrakcją było ognisko i pieczenie ziemniaków. Podbieraliśmy je z najbliższego pola, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, czyje ono jest. Pod tym względem każde pole, na którym rosły kartofle, było po prostu „nasze”. Na ogniskach piekliśmy też jajka dzikich kaczek, które podbieraliśmy im z gniazd w pobliskich szuwarach. Jajko oblepiało się gliną lub gęstym błotem i taką kulę wkładało do ogniska. Po kilku minutach było ugotowane. Należało tylko odłupać przyschniętą skorupę. Czasami udawało się upolować dziką kaczkę, którą też można było upiec na ognisku. Trzeba ją było wypatroszyć (ale nie skubać). Potem zaszyć i z piórami oblepić gliną. I... do ogniska. Po upieczeniu „skorupa” z upierzeniem łatwo odchodziła i mięso nadawało się do jedzenia.

Nadszedł czas, gdy nasza „śluzka” straciła wiele ze swego naturalnego uroku. Było to chyba latem 1943 roku. Nie wiem z jakich powodów, może w ramach fortyfikowania Narwi, Niemcy „dobrali się” do strugi. Pod ich nadzorem – w ramach szarwarku – wykopane zostało na „śluzie” nowe koryto strugi od młyna prosto do jeziora. Rozkopana została i górka, gdzie mieliśmy karuzelę. Cały wielki łuk starego koryta, z malowniczymi zakrętami, urwiskami zaczął wysychać i stopniowo zarastać. Zamiast naturalnej rzeczki popłynął zwykły rów z wyklepanymi „na glanc” brzegami. Odchodziły nasze zapory, przesmyki, wyrwy i miętusy. „Cywilizacja” wchodziła tam, gdzie nie powinna.

Swoisty charakter miały okupacyjne wieczory. Zwłaszcza te długie, zimowe. Przez cały czas obowiązywało zaciemnienie. Z nastaniem zmroku wieś zapadała w ciemności. Zimowa biel pól, las pokryty czapami śniegu, mróz i księżyc okalający wszystko swoim światłem. Wokół cisza. Tylko od czasu do czasu trzask jakiejś gałęzi w lesie, pękającej pod ciężarem śniegu. A tuż obok ten cmentarz ze swoją brzoźową obudową w księżycowej poświacie. I świadomość, że po całym terenie włączają się niemieckie patrole z psami, gotowi w każdej chwili strzelić w okno, z którego błysnęłoby jakieś światelko. To wszystko tworzyło nastrój tamtych wieczorów.

Pewnego razu tuż przed zmierzchem zaszli do nas Niemcy – trzech czy czterech. „Karciarzy” jeszcze nie było, a tu nieproszeni goście. Od razu było widać, że są nieźle podpiici i szukają pomocy. Okazało się, że jeden z nich wywinął na lodzie tęgiego „kozła”, wyrznął o zamarniętą ziemię swoim karabinem aż pękła i odleciała drewniana kolba. I „szwabiska” wpadły w popłoch – jakże to wracać na wachę z rozwalonym po pijanemu karabinem? Pokazują go mojemu tacie i wujkowi i chcą żeby im naprawić. Nie ma jednak czym, ani żadnego kleju, ani warsztatu. Zaświtała myśl, że na sąsiedniej wsi Trzciance osiedlony został stolarz z Wołowej, niejaki C. Doradzono im, że on na pewno pomoże. I towarzystwo się tam powlokło. A tak w ogóle, to baliśmy się Niemców, jak diabeł święconej wody. Chociaż nie wszyscy i nie zawsze zachowywali się brutalnie. Bywało, że zaszli do izby, coś tam „poszwargotali”, rozgrzali się i poszli. A jak trafili na wesele Marysi lub inną potańcówkę – tańczyli na równi z innymi. Z czasem wszyscy już orientowali się, którzy z nich są wredni, a którzy łagodniejsi. Najgorszą sławą w okolicy cieszył się żandarm z Lubiela nazwiskiem Paul. To była istotnie bestia. Znany z surowego traktowania polskiej ludności był też sam komisarz gminy i jeden Niemiec z wachy w Grądach. Tego ostatniego zapamiętałem, bo któregoś zimowego dnia sam przylazł do nas, ogrzał nad kuchnią łapy i wyszedł na podwórko. Akurat na polu koło cmentarza przysiadła sroka. A on zdjął karabin, wycelował i strzelił. Na szczęście nie trafił. Ale hukiem wystrzału bardzo mnie wystraszył. A bo to wiadomo, co takiemu może przyjść do głowy?

Któregoś dnia niespodziewanie wpadli do nas żandarmi i zrobili rewizję. Przetrzęsli cały dom. Czego szukali – nie wiem. Najbardziej grzebali w walizkach szwagra W. Zabrali mu jakieś materiały na garnitur, skóry na buty i zelówki, a jego aresztowali. Chyba za „szmugiel” znów go wsadzili do obozu pracy na pół roku. Odsiadywał w Pułtusku, Płocku i Działdowie. Pracował przy wyplataniu koszyków. Nabrał w tym dużej wprawy. Po jego powrocie i my nauczyliśmy się od niego tej umiejętności. Podbierało się sosnom ich długie, cienkie korzenie, oskrobywało z kory i wyplatało z nich zgrabne opalki i koszyczki. Po wyschnięciu były lekkie i trwałe.

Wieczorne „posiedzonka” odbywały się u nas nieustannie. Przy karcietach rozprawiano o wszystkim, a najczęściej o tym, kiedy Niemców „szlag” trafi i skończy się wojna. Tego rodzaju spekulacje nasiliły się zwłaszcza po rozpoczęciu przez nich wojny ze Związkiem Radzieckim, czyli z Rosją. Ale gazety – wydawane przez Niemców w Generalnej Guberni i czasami przynoszone przez „szmuglerów” – donosiły o samych sukcesach Wehrmachtu. Czytano i komentowano je po swojemu. A sens był taki: dobrze, dobrze – idźcie jeszcze dalej na wschód, jeszcze głębiej w Rosję, a niedługo zaczniecie dostawać lanie. I ni stąd, ni zowąd nakazano wycinać wszystkie polne grusze i drewno z nich odstawić dla Niemców. Ofiarą padła i nasza rozłożysta grusza – ulegalka, co rosła na polu pod lasem. Okazało się, że drewno to potrzebne jest Niemcom jako paliwo na „Holzgas” (gaz drzewny) do maszyn, bo z ropą robi się kruch, a w Rosji nie udało się jej zdobyć. Mało tego, żołnierzom na wschodzie pokazał zęby „generał mróz”. Wehrmacht doznał zimowej zadyszki. W trybie jak najpilniejszym nakazali tkać na drutach wełniane swetry i rękawice z dwoma palcami dla swojego wojska. U nas ten przymusowy obowiązek „pomocy” dla Wehrmachtu spadł na siostrę Władzię (umiała robić na drutach). Jedno co mogliśmy zrobić, to wybieraliśmy na te wyroby najgorszą wełnę – taką spod owczych brzuchów i ogonów. Chociaż w ten sposób mogliśmy wyrazić nasz stosunek do losu niemieckiej armii, która coraz bardziej grzęzła w Rosji.

Nasz dom był nie tylko miejscem „schadzek” karciarzy, ale także punktem zbornym „szmuglerów”. Mieszkaliśmy przecież na uboczu, pod lasem. Mimo niemieckich zakazów i nakazów potajemny handelek, zwany „szmuglem” kwitł w najlepsze. A mój szwagierek uchodził za jednego z czołowych „szefów” szmuglerskiego bractwa. We dwóch z niejakim K. z Sewerynki należeli do „ścisłej czółówki”. Przenieśmy się myślą na chwilę do tamtego czasu. A więc nadciąga zmierzch, robi się cicho. Pojedynczo zaczynają ściągać do naszej izby „chłopcy”. Ze zwykłych worków mają zrobione plecaki, przy nich szelki z grubych sznurków, zaś w środku „rąbanek”. Co to jest? Po prostu wieprzowe mięso, w kawałkach, urąbane z ubitego świniaka. Skąd to mają? Za Narwią kupują od chłopów wieprze, ubijają gdzieś w ukryciu, oprawiają i towar gotowy. Zanim zbierze się cała grupa robi się całkiem ciemno. I wtedy ruszają za granicę do Generalnej Guberni. Jak wszystko pójdzie dobrze dotrą tam na umówioną „metę”, sprzedadzą rąbanek, która pojedzie dalej pociągiem do Warszawy, a oni z forszą wrócą nad ranem. Są lekko ubrani, broń Boże bez długich płaszczy. Granicy strzegą Niemcy z psami. Jak cokolwiek zauważą – strzelają i szczują swoimi wilkami. Wtedy porzuca się towar i wieje ile sił w nogach i tchu w piersi. Najgorsze są te psy. Rzucają się na człowieka, szarpią i duszą jak wściekłe. Tak są wytresowane. Niejeden „szmuglerczyk” wracał z takiej wyprawy porządnie pokaleczony i w podartych łachmanach. Ale i na niemieckie wilki znalaziono sposób. Oto rusza grupa z towarem na plecach, a w rękę każdy ma długi kij

z przyciętą i na sztorc osadzoną kosą. Idą, jak legendarni kosynierzy Kościuszki w bój pod Raclawicami. Może ta „wizja” nie jest tak heroiczna, jak tamtych, ale przecież trzeba się jakoś bronić. No i teraz spotkanie z niemieckim pieskiem nie będzie oznaczać, że tylko jedna strona dostanie „ciągi”. Także i niejeden piesek oberwał kosą po rozdziwionym pysku. Ale „wpadki” zdarzały się często. Przy spotkaniu z patrolem na bliską odległość nie było szans ucieczki. Niemcy oświetlali latarkami i strzelali bez pardonu, jeśli delikwent nie podnosił od razu rąk do góry. Wtedy wędrował na wachę, towar przepadał, a jego sadzali na kilka miesięcy do obozu pracy. Zdarzało się też, że po narąbaniu drzewa dla wachy puszczali do domu. To jednak kosztowało już solidną „łapówkę”. No i trzeba było mieć „dojście”. Z czasem szmuglerzy mieli już swoje „kanały” i w razie wpadki korzystano z nich. Trzeba zaznaczyć, że nie tylko ci skryci handlarze szukali swojej szansy o „szarej godzinie”...

Oto jest ciepły, letni wieczór. Na dworze siąpi deszczyk, jest spokojnie, cicho. Jesteśmy wszyscy w izbie, a tu po cichutku, skradając się jak koty, wchodzą dwaj mężczyźni. Bąkają coś na powitanie. Są w cywilnych ubraniach, bez żadnego bagażu. Od razu widać, że nietutejsi. Proszą o jedzenie, bo są bardzo głodni. Mama daje im mleka i chleba. Zjadają z wielkim apetytem. Przysiada się do nich tata. Coś tam rozmawiają półszepem – trochę po polsku, ale padają też słowa, których my nie rozumiemy. Słowa są rosyjskie – tata ich rozumie. Pytają czy nie ma w pobliżu Niemców, jak można ich uniknąć, w którą stronę trzeba iść na Ostrów Mazowiecką. Posiedzieli krótko, podziękowali i poszli. Co za jedni, skąd wędrowali, dokąd zmierzali? Nic o sobie nie powiedzieli. Było jasne, że uciekają przed Niemcami. Z kierunku ich marszu na wschód i wtrąconych rosyjskich słów można się było domyślać, że są to jeńcy, którzy uciekli z niemieckiej niewoli. Jak cicho przyszedli tak bezszelestnie rozplęnęli się w ciemnościach nocy.

Tymczasem Niemcy zarządziли badania lekarskie całych rodzin. Ludność z poszczególnych wsi ma się stawić w wyznaczone dni rano do gminy w Lubielu. Należy być wykąpanym i w czystej bieliźnie. Przychodzi kolej na Ostrykół. Zbiera się kilka rodzin – my, wujostwo Dz., sąsiedzi M., P., K. i inni. Ruszamy gromadą na piechotę do Lubielu, niczym pielgrzymka do Częstochowy. Jest ciepły ranek, idziemy piaszczystą drogą. Mijamy chałupy Sewerynki i wychodzimy na obszerne łąki. Z prawej strony Narew prowadzi nas ze swoim nurtem prosto do Lubielu. Na miejscu, na sporym placu gromadzi się coraz więcej ludzi. Ustawia się ogromna kolejka do baraku, gdzie badają niemieccy lekarze. Wszyscy są zdenerwowani, nie bardzo wiedzą co to za badania, po co one, co z tego może wynikać? Krają różne pogłoski, ale najczęściej mówi się, że będą zabierać do Prus. Trwa to niemiłosiernie długo, kolejka posuwa się bardzo wolno, robi się gorąco. Już południe, a my jeszcze nie weszliśmy do baraku. Upłynęło jeszcze sporo czasu i nareszcie jesteśmy w środku. Jakiś długi korytarz, ciasno tu, zaduch niemożliwy. Jedni rozbierają się do pasa, a ci co wychodzą od lekarza ubierają się – słowem ludzkie kłębowisko. Po jakimś czasie wchodzimy. Jest kilku lekarzy. Osluchują, oglądają gardła – ot, takie ogólne badania. Najskrupulatniej badają mężczyzn. Staje tata i lekarz przykłada słuchawkę to tu, to tam, ogląda gardło, każe zakasłać raz i drugi, znów osłuchuje i zwraca się do sekretarza, który wypisuje jakieś formularze – astma!

Jak się potem okazało, przed wywózką na roboty do Niemiec uratowały nas... wiśniowe liście. W jaki sposób? Już wyjaśniam. Otóż tata zawsze był namiętym palaczem. A w tym czasie nie było żadnych papierosów ani machorki. Chłopi kroili więc podsuszone wiśniowe liście i palili z nich „skrety”. Po takim „nasztachaniu się” palacz kaszał jak najęty, a w piersiach rzeziło mu rzeczywiście jak w zaawansowanej astmie. A tata napalił się przed tym badaniem, jak parowóz. No i zmylił niemieckiego medyka.

Po badaniach każda rodzina otrzymała kartkę – jedni żółtą, drudzy niebieską. Wracaliśmy nad wieczorem tą samą drogą i też gromadnie. No i zaczęły się spekulacje, z którymi kartkami będą brać. Z wypowiedzi „znawców” – w każdej grupie zaraz się tacy znajdują – wynikało, że my to niechybnie pojedziemy na roboty do Prus. A no pojedziemy, to trudno, co można poradzić.

Minęło kilka dni i sporo rodzin z Ostregokołu otrzymało „karty powołania” do wyjazdu do Prus, m.in. najbliżsi sąsiedzi K., rodzina K., u której swego czasu zachwycałem się szopką oraz rodzina K. – mająca gospodarstwo przy rozwidleniu dróg. A my zostaliśmy. Mogli zabrać ze sobą tylko pościel i rzeczy osobiste, resztę dobytku musieli zostawić. W ostatnio wymienionej rodzinie K. było trzech synów – najstarszy Gienio, średni Wacek i zupełnie mały, chyba Henio. Gienio przed wojną chodził do gimnazjum. Zapamiętałem go dobrze, bo miał taki elegancki, gimnazjalny mundurek, granatowy ze lśniącoymi guzikami. Wyjeżdżając do Prus K. postanowili, że Gienio nie pojedzie z nimi, a zostanie u krewnych za Narwią. Jak postanowili, tak zrobili. Kalkulowali prosto – gdy wojna się skończy i zanim oni wrócą, Gienio będzie już na miejscu i dojrzy gospodarstwo. Biedak pozostał i ukrywał się przed Niemcami u rodziny. Boże! Żeby oni mogli przewidzieć, jak się to tragicznie skończy, żeby mogli przewidzieć... Ale nikt nie mógł.

A my otrzymaliśmy z gminy nakaz przeniesienia się na gospodarstwo po rodzinie K. Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Z nakazami niemieckiej władzy nie było dyskusji. A zatem przenieśliśmy się. Gospodarstwo K. z pewnością należało do tych lepszych we wsi. Położone około 100–150 metrów od Narwi, przy samym rozgałęzieniu drogi biegnącej przez wieś. Budynki wprawdzie drewniane, ale solidne.

Na podwórzu studnia z żurawiem i bardzo dobrą wodą. Całość ogrodzona sztachetami. Ponadto spory sad wiśniowy, dochodzący do drogi i oddzielony od niej płotem i rzędem bzu. Pod oknami domu od zachodniej strony bujne krzaki czerwonokrwestych róż. Z okna w kuchni przepiękny widok na Narew z wyspą. Znacznie więcej też pola i łąki, z tym, że część na miejscu przy zabudowaniach, a większość i to w dwóch połaciach na Sewerynce. Tuż za stodołą ciągnie się wspomniany już pas łąk. Gdy Narew wylewa mamy wodę przy ścianie stodoły. Ale na podwórko nie wchodzi, bo tu jest wyżej. Także do wymienionego wcześniej rowu mamy nie dalej niż 100 metrów. Stąd bliżej jest do zwartej wsi, którą rozpoczynają zabudowania P. i S., gdzie są nasi rówieśniczy koledzy.

Jak grom z jasnego nieba dotarła do nas wiadomość o śmierci Gieńka K. Zastrzelili go Niemcy w czasie ucieczki. Opowiadano, że doszło do tego tak: był w domu u swoich krewnych. Siedział przy otwartym oknie. Akurat zobaczył idących w tym kierunku Niemców. Wskoczył przez okno i zaczął uciekać. Dostrzegli go i drą się – „Halt! Halt!” A on zyzakiem ucieka ile sił w nogach. Wie przecież, że nie pojechał z rodzicami do Prus, że przebywa tu nielegalnie. A Niemcy z karabinów „bach, bach!” i trafili śmiertelnie chłopaka. Upadł i w konwulsjach skręcał się i rwał rękami trawę zanim skoła. Młode życie do końca nie poddawało się śmierci. Jak się okazało, zabili go Niemcy, którzy często patrolowali tamten teren i z widzenia ludzie ich znali. Podobno potem byli zaskoczeni, że tak się stało, ale strzelali, bo nie usłuchał wezwania i uciekał. Ich zbrodni nic i nigdy nie może usprawiedliwić. Przerwali życie niewinnego, młodego, wartościowego chłopaka, który był powszechnie lubiany i szanowany, był radością i nadzieją swoich rodziców.

Wiadomość o tej zbrodni wywołała ogromny szok wśród wszystkich ludzi, którzy chociażby przelotnie znali Gieńka. Wszyscy byli oburzeni na zbrodniarzy, zaciskali zęby i zlorzeczyli, aby nie minęła ich pierwsza kula. Może tak się i stało, może dosięgła ich ręka sprawiedliwości. Zaczęły się bowiem pojawiać symptomy, że zbliża się kres bezkarności niemieckich zbrodni. Oto rozeszła się wiadomość o partyzantach. W lasach pod Porządziem ludzie, spędzeni na szarwark, wycinali drzewa pod nadzorem Niemców. W pewnej chwili nadjechali na koniach uzbrojeni „chłopcy z lasu”. Strażnicy uciekli. Partyzanci kazali ludziom iść do domów. Okazało się, że Niemcom też nieobcy jest strach. Ale największa sensacja dotarła ze wsi Sieczychy. Jak wielka fala na wodzie, rozchodziła się wiadomość, że partyzanci otoczyli tamtejszą wachę, podpalili ją, a wszystkich Niemców wybili co do jednego. Wśród okolicznej ludności wywarło to ogromne wrażenie. A zatem nie jest już tak, że wszystko Niemcom uchodzi bezkarnie. Wstępowała nadzieja, że niedługo jest czas, gdy „szlag ich trafi!”

Nadchodził rok 1944. Jak miało się okazać, nie był to jeszcze jeden zwyczajny rok z kalendarza, a czas wielkiego przełomu, wyzwolenia z niemieckiej okupacji. Na razie jednak szła wiosna. Dni coraz dłuższe, słońce mocniej przygrzewa, topnieją śniegi i lody. Na Narwi rusza kra. Ciekawy i piękny widok. Co jakiś czas rozlega się huk i trzask pękającego lodu. Odrywają się wielkie i mniejsze tafle i zaczynają płynąć.

Tymczasem na okoliczną ludność nadciąga wielkie zagrożenie. Na nadnarwiańskich błoniach zjawiają się jakieś tabory przybyszów. Wozy z budami, w nich całe rodziny. Mężczyźni mają broń. Niektórzy są w niekompletnych mundurach. Mają sporo koni niespotykanej tutaj maści – po prostu są laciaste. Wkrótce sprawa się wyjaśnia. To Ukraińcy, którzy przeszli na stronę Niemców i stali się ich sojusznikami. Teraz opuścili swoje strony i uciekają przed nadciągającym frontem. Widocznie wiedzą dobrze co ich czeka za zdradę. I zaczyna się istne piekło. Grupy uzbrojonych Ukraińców niespodziewanie nachodzą gospodarstwa i rabują, co im się tylko podoba. Najczęściej zabierają konie, wozy, krowy, owce. Świat nie widział takiego bezprawia. Jedyne ratunek to chować, co się da przed tymi rabusiami. Na Sewerynce, za naszą olszyną, rosły takie duże kępy gęstych krzaków. W dniach największego rabunku tam właśnie ukrywaliśmy z Wackiem krowy i owce.

Spędzeni na szarwark chłopcy – pod nadzorem Niemców – wycinają drzewa w lesie M. i transportują kloce nad Narew. Robi się z nich ogromne pale, które rzędami po kilkanaście sztuk wbijane są w dno rzeki. A tych rzędów musi być dużo – odległość między nimi wynosi nie więcej niż 3–4 metry. Wbijają te słupy sprowadzone przez Niemców silnikowe kafary, jak i młoty wprawione w ruch przez kilkunastu ludzi. Nad Narwią wre praca. A tu nadchodzą zniwa. Urodzaj, jak w żadnym okupacyjnym roku. Zboża piękne, kłosa ciężkie, dorodne. Uwijamy się z robotą, bo czas coraz bardziej niespokojny. Zboża jest tak dużo, że nie mieści się w stodole. Na Sewerynce koło olszyny staje duży stóg dorodnego żyta. Niemcy, którzy obsługują centralę telefoniczną podpowiadają, że trzeba młócić i zakopywać zboże, bo jak przyjdzie front wszystko może strawić pożar. Tak się też robi. Tata z wujkiem i szwagrem kopią na podwórku duży dół na ziarno. Ale co to? Jak się w nim przyłoży ucho do ściany słycać dalekie, głuche dudnienie, ziemia drży i osypuje się. Gdzieś daleko toczy się wojna. Za pomocą koni zaprzężonych do kieratu młóci się żyto i takie z plewami wysypuje do wyłożonego słomą dołu. Niemcy przytakuja: „ja, ja, gut, gut”.

W upalny dzień piaszczystą drogą od strony Lubiela nadciąga kolumna niemieckiego wojska. Żołnierze są bardzo utrudzeni. Widać, że to starsze roczniki. Zostają zakwaterowani po chałupach. My musimy oddać do ich dyspozycji pokój. Kładą tam sienniki, koce – mają miejsca do spania. A koło studni, pod klonami, instaluje się wojskowa kuchnia polowa. Żołnierze pracują przy wykańczaniu mostu.

Równocześnie trwa ulepszanie drogi dojazdowej. Koło nas likwiduje się ostry zakręt i wytycza jej przebieg prosto przez pole za oborą. Droga jest poszerzana, nadsypywana i utwardzana okrągłakami.

Po pracy Niemcy głośną granatami ryby. Rzucają je tam, gdzie na rzece są głębokie doły. Na skutek wybuchów pod wodą wszystkie ryby w pobliżu wypływają na powierzchnię. Najwięcej jest drobnicy, ale są i duże sztuki. Część wybierają Niemcy, ale zawsze kilkanaście sztuk odpływa z prądem rzeki. A na te czytamy już my z bratem. Podpływa się do takiej rybki i zabiera do łódki.

Trzeba przyznać, że wojsko, które teraz stacjonuje, to inni Niemcy. Nie ma w nich żadnej pychy ani buty. To normalni ludzie. Jest porządek i jest spokój. A my mamy z ich kuchni „wyżerkę” za cały czas okupacji. Gotują smaczną grochówkę na mięsie. W godzinach posiłków przychodzą żołnierze z manierkami po wikt. Ale zawsze część zostaje i kucharz woła – bierz matka dla rodziny. I jemy jak nigdy dotąd.

Budowa mostu dobiega końca. Przy jego wylocie, po drugiej stronie Narwi, Niemcy ustawili dwie armaty. Któregoś dnia wracamy z Wackiem z rejonu mostu. Jesteśmy w połowie drogi, a tu zza Narwi nadlatuje z dużą szybkością pojedynczy samolot. Zniża lot nad rzeką. Najwyraźniej pilot obserwuje most. Stajemy, przyglądamy się – na skrzydłach i ogonie widać duże czerwone gwiazdy. Idący przed nami dwaj Niemcy też się zatrzymali. Przysłaniają dłońmi oczy, pokazują sobie samolot i coś do siebie mówią. Słyszymy tylko: „Iwan, Iwan”. A zatem to tak wyglądają rosyjskie samoloty!

Niemcy zarządzają stawienie się ludności do kopania okopów za Narwią. Od nas idzie tata i siostra Władzia. Od razu na początku Niemcy zabierają wszystkim dowody osobiste. Mają się zgłosić po nie do gminy w Lubielu po zakończeniu robót. Przez trzy – cztery tygodnie, pod nadzorem „żółtków” powstaje wzdłuż Narwi cały system okopów („żółtkami” nazywano niemieckich strażników od koloru ich mundurów). Robotnicy muszą jeszcze odebrać swoje dowody. Tata opowiadał: „prosto z roboty, ze szpadlami na ramionach idziemy w kilkanaście osób do gminy. Zachodzimy na miejsce, a tu niespodzianka – urząd pusty, okna powybijane, drzwi otwarte, wszędzie na podłodze pełno porozrzucanych papierów. Zaczynamy grzebać i odnajdujemy swoje dokumenty. Już mamy wychodzić, a wtem z dużą szybkością zajeżdżają samochody, z których wyskakują Niemcy ze skierowanymi w nas automatami. Drą się jak wściekli: ręce do góry! I wszystkich nas pod ścianę. Jeszcze chwila i zastrzelą jak nic.” Tata odzywa się do nich i mówi, jak jest, że wracają od kopania okopów, że polecono im tu przyjść po dokumenty. Więc przyszli i zastali wszystko w takim stanie. Któryś z Niemców rozumiał po polsku. Przetłumaczył to dowódcy. Ten ogląda wszystkich, widzi że są po roboczemu, z łopatami. I zwolnił ich. A już patrzyli śmierci w oczy.

Coraz więcej faktów świadczy, że front się zbliża. Za Narwią Niemcy zakładają pola minowe. Zaminowali też naszą wyspę i mniejsze wysepki za nią. Z brzegu widać ustawione przez nich tabliczki ostrzegawcze z napisem „Minen”. W upalny dzień, w samo południe, na przeciwległy brzeg Narwi nadjeżdżają samochody ciężarowe wypełnione Niemcami. Wszyscy się rozbierają i długo kąpią – a więc i po tamtej stronie rzeki jest niemieckie wojsko.

Wychodzi zarządzenie, że przy każdym gospodarstwie należy wykopać przeciwlotniczy okop w kształcie podkowy. Tata ze szwagrem kopią go w rogu sadu, przy drodze. W razie rzeczywistego zagrożenia raczej nie zapewni on nam skutecznej osłony. Tym bardziej, że jest przy samej drodze, na której z każdym dniem narasta ruch niemieckich pojazdów. Od kilku dni z południowo-zachodniej strony słychać było kanonadę artyleryjską, czasami zamieniającą się w potężny huk, jakby kilka burz zeszło się w jednym miejscu. Być może były to także odgłosy walk w Warszawie. Ale my nie wiedzieliśmy o wybuchu Powstania Warszawskiego i wszystko przypisywaliśmy frontowi.

Nadszedł dzień, że „nasi” Niemcy zaczęli zbierać się do odjazdu za Narew. Ich wyjazd przysporzył nam wiele niepokoju. Wszystko to odbywało się już w atmosferze wielkiego napięcia, prawie paniki. A Niemcy zarządzili, że mają ich odwieźć podwozy ze wsi. Ustalono, że my wspólnie z sąsiadem mamy wystawić jeden wóz zaprzężony w naszą kobyłę i jego konia. Pojadą nim – od nas Wacek z kolegą od sąsiada. Na wóz załadowano karabiny, plecaki i inne wojskowe rzeczy. Z duszą na ramieniu ruszyli chłopcy za Narew. Niemcy nas zapewniali, że odwiozą ich tylko parę kilometrów i na wieczór wrócą. Minął jeden dzień – ich nie ma, drugi – też nie ma. Wrócili dopiero trzeciego dnia. Okazało się, że trzeba było jechać aż do asfaltowej szosy (Pułtusk–Różan), a nią jeszcze kilkanaście kilometrów i dopiero tam ich zwolnili. A byli już tak zdesperowani, że zaczęli zastanawiać się nad tym, czy nie zostawić wozu i koni i wiać do domu. W powrotnej drodze jeszcze „żółtki” chcieli ich zatrzymać i zatrudnić. Ale – jak opowiadał Wacek – postanowili nie słuchać wezwań. Niech się dzieje co chce – udajemy, że nie wiemy czego od nas chcą, podcinamy konie batem byle czym prędzej do Narwi. Udało się. Spanikowani do granic wytrzymałości dotarli do domu.

O tym, że Rosjanie są już blisko świadczyło spotkanie siostry Władzi z niemiecką „czujką” w pobliżu słuzy. Pasłem akurat krowy na tamtejszych łąkach. W domu zaczęli się bardzo niepokoić, że jeszcze nie wróciłem. Wysłali po mnie Władzię. Doszła ona już pod służę, jeszcze tylko przejść jakieś 50 metrów przez rzadki las... A tu zza drzewa rozlega się „halt!” I wychodzi Niemiec w przeciwdeszczowym płaszczu z bronią w ręku. Wypytuje co ona za jedna, co tu robi o tej porze itp. Akurat wyląniam się ja z krowami,

więc ona pokazuje, że wyszła po te krowy, bo zrobiło się już późno. Popatrzył, że wszystko się zgadza i skinął ręką, że może iść. Nie ulega wątpliwości, że Niemiec stał na „czujce”, wysuniętej w kierunku, z którego spodziewali się nadejścia Rosjan. Wkrótce miało się to potwierdzić.

Ruch w kierunku mostu nasila się z każdą godziną. To jest już właściwie ciągły potok pojazdów wojskowych i cywilnych. Dużo cywilów. Kto to jest? Jakież rodziny niemieckie? Jadą z tobołami, ciągną najrozmaitszy sprzęt i maszyny rolnicze. Wszystko w pośpiechu pcha się za Narew. Coraz bardziej narasta wśród nas niepokój. Jesteśmy bardzo blisko drogi. Kto wie co się będzie dziać, gdy przyjdzie noc. Zapada decyzja – zabieramy pościel i najniezbędniejsze rzeczy i przenosimy się do schronu. Razem z nami przenoszą się tam: wujostwo Dz., pani Helenka z Tereską i Tadzikiem. Od sołtysa przychodzi polecenie, aby do szpitala wojskowego, który jest rozlokowany we wsi, dostarczyć dla Niemców gęsi i kury. Idziemy tam z Wackiem i Władzią. Zachodzimy, a szpital właśnie się ewakuuje. Każą nam zostawić przyniesiony drób. Wracamy. Za wsią widać jakiś pożar. Buchają kłęby czarnego dymu. Płomieni nie widać – zasłaniają drzewa. Co to może się tak palić? Nadchodzi wieczór. Z naszego schronu jeszcze trochę widać nieprzerwany potok na drodze. Natomiast bardzo dobrze słychać warkot motorów, chrzęst pojazdów i pokrzykiwania Niemców. Jest noc pełna trwogi i niepokoju. Co będzie dalej? Ruch na most trwał jeszcze jakiś czas po północy. A potem wszystko ucichło. Zrobiła się niesamowita cisza. Było jeszcze ciemno, gdy szwagier wyszedł na dwór. Po chwili wrócił i powiedział, że widział jak Niemcy zwijali swoje kable telefoniczne. A po kilku minutach zaczęło świtać i ukazały się... radzieckie czołgi!

Jesteśmy w naszym bunkrze. Informacja szwagra o zwijaniu przez Niemców kabli stawia wszystkich na nogi. Po jakimś czasie słychać narastający szum motorów. Nasłuchujemy. Ktoś ostrożnie odchyła szmaciak i mówi, że przez pole wzdłuż lasu jadą jakieś pojazdy. Właśnie mijają zabudowania Malickiego i za chwilę są naprzeciwko nas. Najpierw dwa, a nieco z tyłu trzeci. To czołgi. Widać długie lufy, obracają się gąsienice, a w otwartych włazach, wychyleni do pasa, żołnierze ze słuchawkami na uszach. Jadą bardzo czujnie, rozglądają się na wszystkie strony. Ktoś woła – „to nie są Niemcy, to Rosjanie”. Wychodzimy wszyscy przed bunkier. Akurat nas mijają. My przyglądamy się im, oni nam. Ich czołgi robią duże wrażenie. Chwilę stoimy i patrzymy, ale szybko przychodzi myśl – trzeba jak najprędzej stąd uciekać, bo zaraz może wybuchnąć strzelanina, ponieważ za Narwią są Niemcy! Szwagier wyskakuje z bunkra i pędzi gdzieś prosto ku wsi. Tak jest spanikowany. Najbardziej zimną krew wykazuje tata. On ma frontowe doświadczenie i wie co teraz trzeba robić. Nam z Wackiem każe biec do obory, pospuszczać z łańcuchów krowy i razem z owcami i stadkiem gęsi przypędzić tutaj. Mama i siostra mają przygotować toboły do drogi. Sam przyprowadzi kobyłę z wozem. Biegniemy w stronę zabudowań, zdaje się, że za nami biegnie Władzia. Na skraju łąki za naszą stodołą stoi czołg z lufą skierowaną za Narew. W jego kierunku idzie żołnierz. Jest w ciemnym, długim płaszczu, a na głowie ma jakąś dziwną czapkę w takie grube pręgi (helmofon). Kłaniamy mu się. Wiemy przecież, że Niemcom obowiązkowo trzeba było się kłaniać. Wiemy, że ten co teraz idzie, to Rosjanin. Ale żołnierz. Więc trochę z obawy, trochę z chęci powitania go mówimy zgodnie – „dzień dobry”. A on odpowiada „zdrastwujtie”. Było to pierwsze słowo, jakie usłyszałem od rosyjskiego żołnierza. Zabrzmiało ciepło i przyjaźnie.

Wracamy z całym stadem w pobliże schronu. Akurat ładują w pośpiechu toboły na wóz. Teraz właśnie potrzebny byłby wóz na solidnych kołach, które spoczywają na dnie w pobliskiej sadzawce. Ale nie ma czasu na ich wydobycie i zmianę. Rosjanie ponaglają – „uchaditie, uchaditie skorej, zdiessiejjas boj budiet”. I rzeczywiście rozlega się huk pierwszych wystrzałów. To chyba strzelają za Narew czołgi, które przejeżdżały koło nas. Słychać jakieś potężne detonacje. Okazuje się, że Niemcy wysadzili most na Narwi. Zza lasu buchają kłęby dymu, a w niebo wzbijają płomienie. Pałają zabudowania państwa M. Jest dopiero wczesny świt, co dodatkowo wzmacnia grozę sytuacji. Tak, przyszła prawdziwa wojna. Huk wystrzałów i łuna bliskiego pożaru wprawiają w istny szal naszą kobyłę. Biedaczysko, nie jest przyzwyczajona do czegoś takiego. Każdy strzał to ona w kwik, staje dęba i szarpie uprząż. Tata usiłuje trzymać ją za uzdę, ale gdzieś tam, wrywa się. Dopiero z pomocą wujka udało się ją opanować. Tata pyta czy wszystko zabrane. Ktoś zagłada jeszcze do schronu, ale w mroku nic nie widać. Ruszamy. Na wozie toboły i Marysia z małym Kazikiem na rękę. Wszyscy inni, którzy byli w schronie, idą za wozem. My z Wackiem i Tadek Dz. mamy na końcu pędzić krowy, owce i gęsi. Wychodzimy na piaszczystą drogę, która za łąką prowadzi na wschód, w kierunku wsi Grądy, skąd właśnie nadchodzą Rosjanie. Uszliśmy może ze 200–300 metrów, gdy gęsi w pewnej chwili spłoszone wystrzałami poderwały się z krzykiem i „fru” – poszły w pole. Nie było czasu biec za nimi. Poszły na stracenie. A my czym prędzej, aby jak najdalej. Przeszliśmy mostek na strudze przy młynie. Zatrzymujemy się na chwilę. Nieopodal jakiś żołnierz z automatem na plecach zdjął z nogi but, odwrócił go i potrząsa. Widocznie coś mu tam wpadło. Prosto na strugę jedzie czołg. Za moment kryje się za jej wysokim brzegiem. „Patrzcie – woła ktoś – utopi się!” A on zawarczał tylko głośniejszym silnikiem i już wyłazi na drugim brzegu. Naprzeciw nas jadą czołgi i samobieżne działa. Na nich żołnierze w przykurzonych kombinezonach i helmofonach na głowie. Twarze mają przykopcone, oczy zaczerwienione, ale czujne. Trzeba im ustępować z drogi. Sami też zjeżdżają na bok, jeśli wcześniej nas zauważą. Droga prowadzi przez niewielki las. Jest jakieś skrzyżowanie z inną leśną drogą. Na jego środku porzucone sosnowe gałęzie. Któraś krowa skręciła

w boczną drogę. Biegniemy z Wackiem po nią i... nogi się pod nami ugięły. Wśród tych gałęzi leży trup. Wysoki mężczyzna, włosy lekko szpakowate, ręce rozkrzyżowane. Jest w spodniach i koszuli, na nogach same skarpety. Obaj zamarliśmy ze strachu. Pierwsza myśl, że to Rosjanin i od razu refleksja – idą naprzód, ale i giną. Ale nie, to chyba jednak był Niemiec. Nie czas jednak na dłuższe rozpamiętywanie. Trzeba „uchodzić” dalej. Niedaleko w lesie widać jakieś porzucone narzędzia i maszyny. Parę kroków od drogi stoi młockarnia. Kto i po co ją tu przywłókł?

Jesteśmy na Grądach. Mijamy wachę. Przed wojną była tu szkoła. Teraz budynek ogrodzony jest wysokimi zasiekami drutu kolczastego. Widocznie Niemcy nie czuli się tu zbyt pewnie. Mówią, że gdzieś przy drodze został jeden ranny Niemiec. Podobno błagał o pomoc i jakieś kobiety zlitowały się i dały mu pić. A w stronę Narwi ciągnie coraz więcej wojska. Obok pojazdów idzie piechota. Żołnierze oprócz automatów niosą – po dwóch – jakieś długie i duże karabiny, albo znów krótsze i grube lufy i takie żelazne podstawy (moździerz). Niektórzy mają na głowach hełmy, a inni furazerki – najczęściej założone zawadiacko na bakier. A na nich czerwone gwiazdki. Dogania nas szwagier. Mówi, że chciał iść na Dozin, do wujostwa N., ale tam są jeszcze Niemcy. Za Ostrymkołem zawrócili go Rosjanie i kazali iść z powrotem. Idziemy dalej razem. Z tyłu dochodzi jakiś warkot wielu motorów. Oglądamy się, a to wielka grupa samolotów. Są mniej więcej nad służą i lecą za Narew. Widać je dobrze w porannym słońcu. Wyżej nad nimi uwijają się jeszcze inne. Są bardzo szybkie. Najwyraźniej ochraniają tę grupę. Zza Narwi dochodzą dalekie głuche wystrzały. A w pobliżu samolotów słychać przytłumione wybuchy i widać kłęбки dymu. Z daleka wygląda to tak, jakby pękały nadmuchane dymem bańki mydlane. Rozlegają się nawoływania, aby kryć się. To do rosyjskich samolotów strzelają zza Narwi Niemcy. W pośpiechu skręcamy między chałupy. Jest jakaś piwnica. Wciskamy się tam ciasnym wejściem. A w środku pełno wystraszonych ludzi. Dzieci płaczą, matki starają się je uspokoić. Duszno i ścisk niemożliwy.

Po jakimś czasie wszystko się uspokaja. Wracamy na drogę i wlecemy się dalej. Minęło pół godziny i znów narasta jakiś niepokój. Jadący naprzeciw nas furmankami żołnierze zatrzymują konie i gwałtownie zawracają. Pokazują nam, abyśmy uciekali w bok. Prostopadle do drogi jest jakiś rów, nad nim rzadkie drzewa. Skręcamy tam i zatrzymujemy się. Szybkim marszem nadchodzi oddział wojska. Padają komendy. Żołnierze rozsypują się wzdłuż tego rowu i zaczynają się okopywać. Za rowem słychać i widać manewrujące dwa czy trzy czołgi. Okazuje się, że podobno w lesie, który mijaliśmy, ukazały się niemieckie czołgi. Rosjanie najwyraźniej szykują się do obrony. Za parę minut słychać jakąś dziwną salwę – jedną, drugą, trzecią. Ktoś – chyba nawet tata – określił, że głos był taki „jakby kto płachtę trzepał”. Dopiero później dowiedzieliśmy się od Rosjan, że tak strzelają słynne „katusze”.

Było południe. Po tych przeżyciach postanawiamy trochę odpocząć i coś zjeść. Praktycznie od wczoraj nic nie jedliśmy. Obok w lesie pełno rosyjskiego wojska. Widać płytkie pojedyncze okopy. Żołnierze leżą, siedzą, czyszczą broń, poprawiają oporządzenie. W każdej chwili są gotowi powstać i maszerować dalej. W pobliżu, pod drzewami stoi i dymi ich kuchnia polowa. Przychodzi do nas dwóch młodych żołnierzy z automatami. Zwracają się do taty, aby im dać jednego baranka na mięso. Otrzymują zgodę. Zachodzą tak, aby go oddzielić od grupy i zabijają z automatu. Niech im będzie na zdrowie. Zasługują przecież. W górze słychać jakiś szum. Nad samymi wierzchołkami sosen leci samolot, dwupłatowiec. Widać duże, czerwone gwiazdy. Takie same, jakie miał ten sprzed kilkunastu dni nad Narwią. Ten to chyba jakiś łącznikowy.

Po krótkim postoju wędrujemy z całym majdanem dalej. Mijamy sporo spalonych zabudowań. Po chałupach sterczą tylko kominy i kuchenne mury. Widać, że niedawno strawił je pożar. Jeszcze czuć zapach świeżej spalenizny. Wszędzie pełno pojedynczych okopów. To ślady przesuwania się wojsk do przodu. Za nami pozostały Grądy. Późnym popołudniem dochodzimy do wsi Prabuty. Między chałupami jakaś spora wolna przestrzeń. Stoi tam stóg zboża, za nim jest łąka, która przechodzi w jakieś bagna porośnięte olszyną. Zatrzymujemy się pod tym stogiem. Krowy i owce pożywiają się na łące. Niedaleko pod drzewami widać namioty i ludzi w białych fartuchach. Podjeżdżają do nich samochody – sanitarki. Trwa tam nieprzerwany ruch. To chyba szpital polowy lub jakiś punkt medyczny.

Pomału nadciąga wieczór. Zostajemy pod tym stogiem. Teraz okazuje się, że w schronie zostały taty nowe buty z cholewami. W ogólnym zamieszaniu jakoś się zawieruszyły i nikt ich nie zauważył. Trudno – stało się. Łudzimy się, że może tam przetrwają do naszego powrotu. Tymczasem drogą w kierunku Narwi jadą ciężarowe samochody i wiozą żelazne pudła, podobne do promu. Domyśliłyśmy się, że służą do przeprawy przez rzekę. Gdy się bardziej zmierzcha zaczynają jechać czołgi. Pędzą z dużą szybkością. Wszyscy podchodzimy do drogi i przyglądamy się. Ich gąsienice podrywają wysoko w górę bryły ziemi. Tak, to jest siła, która może pokonać Niemców. Wracamy pod stóg. W chwilę potem rozlegają się armatnie strzały. Słychać świst. Zadzieramy głowy do góry. Nad nami przelatują ogniste smugi pocisków. To Rosjanie strzelają za Narew z dalekosiężnych dział, ustawionych pod pobliskim wzgórzem. Mimo że uciekliśmy kilkanaście kilometrów od Narwi, to jednak nadal jesteśmy w strefie frontu. Na razie nikt nie zdaje sobie sprawy, że przecież Niemcy też mogą strzelać, a ich pociski dolatywać tutaj. Jesteśmy pod wrażeniem siły Rosjan. Wkrótce armaty milkną i wszystko się nieco uspokaja. Chociaż na drodze trwa ruch. Po przeżyciach dzisiejszego dnia część z nas zasypia, zwłaszcza dzieciaki. Starsi na ogół czuwają.

Następny dzień jest spokojniejszy. Przenosimy się do pobliskiej chałupy, do której przygarnęli nas mieszkający w niej ludzie. Krowy i owce pasą się na łące. Właśnie jesteśmy tam, gdzie zaczyna się olszyna. Wtem jakiś przeraźliwie narastający świst i „bach, bach” – jeden, drugi i następne – rozrywają się w olszynie pociski. Samych wybuchów nie widać, bo przesłaniają drzewa, ale słychać, że padają blisko. Uciekamy. W ciągu paru sekund rozerwało się ich tam kilka. Wyraźnie nękający ostrzał. Na szczęście więcej się nie powtórzył.

Zaczęły się rozważania, że może front „przewalił się” już za Narew, że Rosjanie wyparli Niemców dalej. Należałoby sprawdzić czy można już wracać na Ostrykół. Zapada decyzja, że pójdzie grupa – moja mama, ciocia Dz., Helenka M. – a z dzieciaków ja, obydwaj Tadek oraz od nas chyba jeszcze Władzia. Nazajutrz – a był to trzeci albo nawet czwarty dzień – po śniadaniu ruszamy w kierunku Ostregokołu. Idziemy najpierw drogą, później jakimiś ścieżkami. Przed nami strumyk, szeroki na jakiś 2–2,5 metra. Z tyłu szybkim krokiem nadchodzi oficer rosyjski. Na głowie okrągła czapka z barankowym otokiem, długi płaszcz, przez ramię przewieszony automat. Zdejmuje go i pokazuje, abym mu go przeniósł – ja idę boso i przechodzę strumyk w bród. O mało nie przysiadłem pod jego ciężarem – widocznie był z pełnym magazynkiem. Oficer przeskakuje na drugi brzeg, odbiera swój automat. W podziękowaniu głaszcze mnie po głowie i mówi „spasiba malczik”. I odchodzi ku swojemu przeznaczeniu.

Docieramy do Ostregokołu. A tu wszędzie mnóstwo okopów, jakieś bunkry i masa wojska. Zachodzimy na nasze gospodarstwo. Nagle robi się jakiś ruch, zrywa się strzelanina. Żołnierze kryją się pod strzechę chałupy i strzelają z karabinów i automatów w górę. Prosto nad nami pokazało się kilka niemieckich samolotów. Są dosyć wysoko, ale na tle bezchmurnego nieba widać ich czarne krzyże. Tuż na polu, za chałupą – gdzie mieszka wspomniana Stasia K. – są stanowiska dział przeciwlotniczych. Rosjanie otwierają z nich szybki ogień. Zewsząd wojsko strzela do samolotów z czego się tylko da. Huk i zgiełk niesamowity. Widać wyrastające koło nich – znane nam już – kłębki dymu. Wiemy, że to rozrywające się w górze pociski. Słychać świst spadających odłamków. Stoimy pod ścianą wśród strzelających żołnierzy. Po kilku minutach strzelanina cichnie. Samolotom nic się nie stało. Odlatują gdzieś na południe. Wynosimy się stąd czym prędzej. Po drodze zaglądamy jeszcze do naszego bunkra po taty buty. Ale po nich ani śladu. Zbieramy się całą grupą i już bez przeszkód wracamy pod wieczór na Prabuty. Wniosek jest taki, że trzeba tu pozostać jeszcze parę dni.

We wsi został otwarta szkoła. Najpierw zaczął tam chodzić Tadek Dz., a chyba po dwóch dniach poszedłem i ja. Ołówek jakiś się znalazł, a zeszyt mam zrobiony z szarego papieru do pakowania. Władzia zszyla mi go nitką i zrobiła ołówkiem linijki. Do szkoły jest około pół kilometra, może nawet i więcej. Budynek drewniany, ale dosyć obszerny. Wszystkie dzieciaki uczą się w jednej izbie. Lekcje są łączone, bo jest tylko jedna nauczycielka. Z zazdrością patrzę, jak inni piszą i czytają – i myślę – czy ja też się tego nauczę? A pani jest bardzo przyjemna. Wypytuje skąd jestem, czy czegoś się już uczyłem i zachęca, że jak się będę starał, to wszystkiego się nauczę. I pokazuje jak pisać.

W tym czasie tata z Wackiem wyjeżdżali kilka razy na Ostrykół, głównie po zboże. Jednego razu o mało nie skończyło się to tragicznie. Wacek tak opowiadał – „oparłem się o drzwi stodoły i patrzę na lecące za Narew rosyjskie samoloty. Wtem słychać przy nich przyciszzone „trrrr” – krótką serię i „pac, pac” – kilka pocisków trafiło w „moje” drzwi. Parę centymetrów brakowało, a bym dostał jak nic. Żołnierze rosyjscy, którzy byli na podwórku, popadali na ziemię, wstają, wygrażają lotnikowi i wymyślają od duraków. Ale przecież on nie słyszy. Dlaczego strzelał? Za Niemców ich wziął? Nie orientował się w terenie? Czy rzeczywiście jakiś „durak” chciał sobie postrzelać, a narobiłby nieszczęścia.”

Tak gdzieś koło nowego roku wśród rosyjskiego wojska zrobił się jakiś ruch. Zaczęli mocno sprzątać i porządkować swoje kwatery, dokładnie odśnieżać ścieżki, czyścić broń, myć pojazdy. Słowem wielkie porządki. Rozeszła się wiadomość, że będzie inspekcja wojska. I rzeczywiście w niedługim czasie zjechały wyższe szarże. Lustrowali wszystko, co ich interesowało, m.in. stojącą w naszym obejściu kuchnię. Sołdaty przeżyły się i salutowały spotkany szarżom. Zapanował dryl, jak nigdy dotąd. Rzeczywiście odbywała się inspekcja. A po kilku dniach dotarła do nas wiadomość, że ruszyła wielka ofensywa. Rosjanie przerwali front i niepowstrzymanie idą naprzód, na Prusy. Pierwszy przyniósł tę wiadomość chyba szwagier. Zresztą wystarczyło popatrzeć w las. Wyjeżdżały stamtąd zaśnieżone czołgi i gościńcem koło szkoły kierowały się w stronę Narwi. Wstępowała w ludzi nadzieja, że teraz na pewno wojna się szybko skończy. To był obecnie główny temat wszystkich rozmów i kalkulacji. A my obaj z Tadekiem Dz. chodziliśmy nadal do szkoły. On był już „zaawansowany” – umiał pisać i czytać. Skądś miał książkę – czytanekę i prawdziwe zeszyty. A ja w swoim kajecie kaligrafuję literki. Ale pani docenia moje starania, by były one równe i ładne. Pochwała przy wszystkich. Wypytuje kiedy stąd wyjeżdżamy. Mówi, że w szkole, w swojej miejscowości będę już trochę umiał, że będzie to moja stąd pamiątka. I za niedługi czas miało się to w pełni potwierdzić. To była mądra i dobra pani.

Zbliżał się czas powrotu. Jeszcze chłopcy pokłócą się solidnie z miejscowymi o „gnój”, który nasze krówki zrobiły w tutejszej oborze. Nasi chcą go gdzieś zabrać, czy sprzedać, a tutejsi, że im się należy i ma zostać na miejscu. Przychodzi sołtys godzić. Robi się wielki harmider, wrzaski aż w połowie wsi słychać. Jeszcze chwila, a do rękoczynów dojdzie. Ale jakoś się uspokoili i pogodzili.

Na dworze robi się odwilż, idzie przedwiośnie 1945 roku. Czas nam wracać na własne śmiecie! Wspólnie w wujostwem Dz. i N. ładujemy na dwa wozy nasze skromne tobołki. Który to już raz? Ale może ostatni! Jeszcze pożegnanie z rodziną P. – oni wracają na Ostrykół. Mówią nam Boże prowadź, my im – szczęście Boże i ruszamy. Najpierw piaszczystą drogą, bo innych tu nie ma. W Jaszczułtach mijamy duży piętrowy budynek – chyba dawną szkołę. A teraz jest tu szpital wojenny. W oknach widać obandażowanych ludzi. To z pewnością ranni żołnierze. Wszędzie przy drodze spotykamy okopy i inne ślady przemarszu wojska. Wyjeżdżamy wreszcie na szosę. Też jest w kiepskim stanie. Rozjeżdżona nawierzchnia, wszędzie pełno dziur. Ale zawsze trochę lepiej się jedzie niż po piachu. Przed nami wyjeżdża z lasu, kryty plandeką, samochód wojskowy. Akurat wytoczył się na szosę. Patrzymy, a on załadowany jest wielkimi bombami. Za tylną klapą siedzi jakiś oficer, który widocznie ich pilnuje. Wszyscy myślimy, aby czym prędzej odjechał z tym niebezpiecznym „towarem”. Aż ciarki przechodzą na myśl, gdyby zaatakował go jakiś niemiecki samolot. Chyba Rosjanie przenoszą stąd jakieś wojskowe magazyny. Oznaczałoby to, że front przesunął się już daleko.

Szosa lekko wznosi się pod górę. Na poboczu widać wielki plakat. Podjeżdżamy bliżej – wielki, wychudły i wyleniawy wilk, sama skóra i kości, pysk to twarz Hitlera, a na łbie wygięta niemiecka czapa ze swastyką. Ale go odmalowali! Jedziemy wśród lasów. Mijamy polanę zrytą okopami i ziemiankami. Leżą jeszcze świeże gałęzie, którymi było to wszystko zamaskowane. Widocznie i tu zimowało masę wojska. W mijanych wioskach tu i ówdzie sterczą kominy po wypalonych domach. Znamy dobrze ten widok od wrześnieowych dni, gdy uciekaliśmy z Ostregokołu. Mineliśmy Porządzie, Rząśnik, Gródek. Jedziemy przez Obryste. Tędy wlekliśmy się w odwrotnym kierunku pięć lat temu. Miejscowości te same, ale zmienione. Wszędzie widać, że przevaliła się tędy wojna. Przed nami jakiś las. Zatrzymujemy się na poboczu, aby konie trochę odpoczęły. Las strasznie zniszczony – zresztą jak wszędzie. Ale tu wiele drzew jakoś dziwnie okaleczonych. Ktoś mówi, że parę metrów przed nami są przy drodze wielkie leje, chyba po bombach. Idziemy tam. I rzeczywiście tuż przy szosie kilkanaście ogromnych stożkowatych dołów. W każdym na dnie sporo wody, a drzewa wokół pościnane na różnej wysokości. Właściwie jakąś straszną siłą porwane w strzępy. Nie ulega wątpliwości – tu spadły dużego kalibru bomby. Takich lejów ani przedtem ani potem nie widziałem. Po krótkim postoju jedziemy dalej. Włeczemy się wolno. Z krówkami nie pośpieszymy. Na horyzoncie zaczynają majaczyć tarasy Pułtuska. Podjeżdżamy bliżej. Po prawej stronie mamy Narew, a za nią panoramę miasta. Ależ ten Pułtusk zniszczony! Nigdzie nie widać całego domu. Wszędzie sterczą tylko jakieś ruiny, najczęściej do wysokości okien. Jeśli gdzieś ocalał jakiś budynek, to też co najmniej dach ma zrujnowany. Na drugim brzegu Narwi jakieś pogruchotane pojazdy, skłębione różności, a wśród nich samolot z czerwonymi gwiazdami. Z daleka nie widać – cały czy uszkodzony. Chyba został strącony albo przymusowo lądował, bo inaczej co by tu robił? Przejeżdżamy przez most. Koło niego są rozległe łąki. Ileż tu lejów po pociskach – jeden koło drugiego. Na ich brzegach śnieg już stopniał, a w środku jeszcze jest. I wszędzie pełno tych czarnych „obwarzanków”. Tu dopiero musiało być „piekło”.

Za parę minut wjeżdżamy do miasta i udajemy się w stronę rynku. Z komendantury wojskowej trzeba uzyskać przepustkę na dalszą drogę. Jezdnia uprzątnięta, ale poza tym wszędzie gruzy, gruzy. Komendantura mieści się w budynku stojącym mniej więcej w połowie drogi do rynku. W szczycie tego domu też widać dużą dziurę po pocisku. Takich zniszczeń, jak w Pułtusku jeszcze nie widzieliśmy. Wszyscy są wstrząśnięci. Przepustkę otrzymujemy bez żadnych trudności. Jest już późne popołudnie. Trzeba jechać dalej – dobre parę kilometrów. Późnym wieczorem dojeżdżamy do Winnicy. Pamiętamy ją z 1939 roku. Zrobiła wtedy na nas wrażenie ładnej, zamożnej wsi. Teraz widać, że wojna surowo się z nią obeszła. Sporo domów spalonych, jeszcze więcej uszkodzonych, a najbardziej ucierpiał dachy. Jakikolwiek pocisk lub bliski jego podmuch zwał od razu kawał dachówki. Również wiele drzew jest okaleczonych. Widać, że ta wieś znalazła się w bezpośrednim zasięgu frontu. Teraz wypadł nam tu nocleg. Wjeżdżamy na podwórze dosyć dużego gospodarstwa. Posilamy się. Przynoszą słomy, rozkładają na podłodze posłanie i idziemy spać. Dorośli rozmawiają jeszcze trochę i też się kładą. Jutro przed nami kawał drogi. A plan jest taki, żeby dojechać na miejsce. Rano pobudka, jakieś śniadanie i w drogę. Jedziemy przez Nasielsk. Za miastem przejeżdżamy przez tor kolejowy. Tego widocznie Niemcy nie zdążyli zniszczyć. Właśnie powoli toczy się po nim pociąg. Ale ta lokomotywa wielka! Podobnie wagony. Nie to, co kolejka na Wołowej. Po drodze wszędzie ślady wojny. Na poboczu jakaś zrolowana gąsienica czołgowa. W polu – kilkanaście metrów od drogi – zabity koń, którego dziobią kruki. Smród z niego aż niedobrze się robi. W rowach i brzdach jeszcze sporo śniegu. Czasami trafiają się nie pochowane trupy. Są tylko w bieliźnie. Buty i mundury ktoś im pościagał.

Mijamy Nowe Miasto. Co jakiś czas przy szosie zagajnik lub lasek. Za jednym z nich na zorany polu, parę metrów od szosy spory cmentarzyk polowy. Świeże mogiły, nad nimi słupki z blaszanymi gwiazdami. Tak, to czerwonoarmiści, którzy już nie wrócą do domów z tej wojny. Pozostaną w polskiej ziemi na zawsze. A ich mogiły świadczyć będą, że walczyli także o naszą wolność. Jeszcze nieco dalej, tym razem po drugiej stronie drogi, też jakiś zagajnik. Mijamy go i odsłania się nam kilka spalonych czołgów. Czarne – widocznie od dymu. Mówią, że rosyjskie. Stoją w takim skośnym szeregu, jakby do jakiejś szarzy szły

i ginęły w tym pędzie od nieprzyjacielskich pocisków. Ale oto blisko drogi mijamy rozbityczołg niemiecki. Pomalowany ochronnie na biało, tylko złowrogie czarne krzyże. Lufa opadła ku ziemi, wieża rozbita. Tenczołg mijamy bez cienia żalu.

Dojeżdżamy do Płońska. Tu nie widać większych zniszczeń. Krótki odpoczynek, popas i w drogę. Zaczynają się coraz bardziej swojskie strony. Po bokach szosy wysadzone drzewa, przy bocznych drogach charakterystyczne mazowieckie wierzby. Zbliża się wieczór. Dojeżdżamy do Blichowa. Za wysokim parkanem stoi nasz drewniany kościół. Przetrwał. Po prawej stronie wysadzona drzewami aleja, prowadząca do folwarcznego pałacu. Jeszcze mostek na strudze, ostry zakręt w prawo. Już przy dobrej szarówce mijamy znajomą figurę w Badurkach. Na wysokim, z kamienia zbudowanym i pobielonym wapnem cokole ten sam prosty krzyż. Stoi tak jak wtedy, gdy ze ściśniętym sercem po raz ostatni żegnaliśmy wzrokiem naszą wioskę. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i jest ona... nasza Wołowa. O Boże! Jak dawno nas tu nie było! Ale znowu jesteśmy. Jest już całkiem ciemno, gdy skręcamy w podwórko do wujostwa Dz. Z zabudowań wujostwa N. zamajaczyły w ciemności tylko jakieś kupy gliny. Podobno naszych też nie ma. Dobrze, że chociaż Dz. zostały. Tu się rozładujemy i nocujemy.

Rano sytuacja w pełni się wyjaśniła. Niestety, po naszym domostwie pozostały tylko zwały gliny, porośnięte wysokimi chwastami i trochę sterczących kamieni z fundamentów. Wzdłuż szosy i nad sadzawką kilka drzew wiśniowych i dwie jabłonie. A na pograniczu z podwórkiem sąsiada S. parę topoli. I to wszystko. Nie było innego wyjścia – należało wszystko zaczynać od początku. Ale to już inna historia.